

ROK LX

CENA NUMERU 1.40 gr.

Nr. 14

BILUSZCZ



WARSZAWA, 3 KWIETNIA 1926 ROKU

UDELIKATNIAJĄ I KONSERWUJĄ SKÓRĘ

MYDŁA

Z SILNEMI KWIATOWEMI ZAPACHAMI
PRZETŁUSZCZONE I HIGJENICZNE

Wyrobu Laboratorium Apteki
M. MALINOWSKIEGO
Warszawa, Nowy Świat 31.

Zawiadamiamy Sz. Panie Prenumeratorki, że
w Administracji naszej są do nabycia dołą-
czane do „Bluszcza” w latach 1924 i 1925

ARKUSZE WZORÓW

naturalnej wielkości robot ręcznych do kopjowania

Arkusze te można nabyć w cenie 30 gr. za
sztukę, z przesyłką pocztową zwykłą 35 gr.,
poleconą 65 gr.

Komplet arkuszy z 25 szt. kosztuje 7 zł., z przesyłką 7 50 gr. zł.

NOWOŚCI

BELETRYSTYCZNE

Barszczewski, Jak być mogło	zł. —.80
Daniłowski, Ida płacze	2.20
Gheon, Pasterka wśród wilków	1.60
Gillard, Tragedja cara Mikołaja II	8.—
Gwiżdż, Obrazy na szkle	3.20
Kessel, Załoga	2.20
Korzeniowski, Pojedynek	—.80
Krzewiński, Z dziejów tęsknoty	—.80
Kucharski, Myśli z pism Sienkiewicza	5.40
Lepecki, Zazdrośna dżungla	—.80
London, Wierność mężczyzny	1.40
Mieciński, Wita	8.—
Ossendowski, Płomienna północ cz. I i II po	6.50
Rodziewiczówna, Niedobitowski z gra- nicznego bataljonu	3.60
Sabatini, Sokół morski	8.80
Veats, Opowiadanie o Hanrahanie (41 tom Laureatów Nobla)	5.—

RÓŻNE

Bocheński, Meja kantyczka (poezje)	3.—
Dmowski, Kwestja robotnicza	—.80
Foerster, Etyka a polityka	4.80
Jacyna, 30 lat w stolicy Rosji	4.50
Komarnicki, Teatr szkolny	5.50
Królińska, Nasze morze	1.50
Mirek, Idea odpowiedzialności w życiu społecznem	3.—
Oppman, Stare miasto (poezje t. I)	5.—
Podoleński, Rozwód a zdrowie narodu	5.—
Rutkowska, Edw. Wittig (Mon. Art. III)	3.—
Szałkowski, Z dziejów insurekcji w 1794 r.	6.50
Szydlowski, J. Malczewski (Mon. Art. V)	3.—
Wasilewski, Dyskusje	5.—
Wasylewski, Portret kobiety w Polsce w XVIII w. (Mon. Art. I)	5.—
Weysenhoff, Mój pamiętnik literacki	4.—
Wojciechowski, Dzieje literatury polskiej	8.—
Wojeński, Stefan Żeromski	3.60
Wóźnicki, Wł. Skoczylas (Mon. Art. IV)	3.—
Zahorski, J. Matejko (Mon. Art. II)	3.—

W POŁOWIE KWIETNIA UKAŻE SĘ NIEZRÓWNAŃEJ WARTOŚCI,
PODRĘCZNIK, BOGATO ILUSTROWANY, OBEJMUJĄCY WSZYSTKIE
DZIAŁY HIGJENY KOSMETYCZNEJ

P. t.

PIĘKNOŚĆ I ZDROWIE W ŻYCIU KOBIETY

D-RA J. ŚWITAŁSKIEJ

CENA W PRZYBLIŻENIU WYNIESIE OKOŁO 8 ZŁ.

ZAMÓWIENIA PRZYJMUJE

TOW. WYD. „BLUSZCZ” — DZIAŁ KSIĘGARSKI.

DZIAŁ KSIĘGARSKI

Twa Wyd. „Bluszcza”

Dostarczy Szan. Paniom
Prenumeratorkom
każdą żadaną książkę
licząc normalną cenę
katalogową i
załatwiając odwrotną
pocztą.

Koszta przesyłki wynoszą
przeciętnie

15 gr. od tomu + 30 gr.
połączenie

za całą przesyłkę

A PRZY ZAMÓWIENIACH

PONAD 10 ZŁ. NIE DO-
LICZAMY ICH WCAŁE

Przy łaskawych zamówie-
niach prosimy o wnosze-
nie części należności.

Konto P. K. O. 3.700.

KSIĄŻKI POCZYTNIEJSZE

Barklay. Błękitny chłopiec	zł. 2.—
„Jane	3.20
Conrad. Fantazja Almajera	2.50
„Opowieści niepokojące	4.80
„Smuga cienia	1.95
„Sześć opowieści	1.95
Domeńska. Brzydka	2.40
Dumas. Dama Kamelkowa	0.95
„Trzej muszkietierowie 3 t.	2.85
Dygasiński. Złamane życie	0.95
Farnol. Na szerokiej drodze	1.95
Gomulicki. Siódme amen	0.95
Grubiński. Nowele	0.95
Jokaj. Atlantyda	0.95
Junosza. Na bruku	0.95
Korczak. Kiedy znów będę mały	4.50
Kraszewski. Hr. Cosel 2 t.	1.90
Ligocki. Powrót Beatryczy	0.95
London. Martin Eden 4 t.	3.80
„Odszczepienie	1.95
„Przygoda 2 t.	1.90
„Przygoda w zatoce San Fran- cisco	1.95
„Serce kobiety	0.95
„Syn słońca	0.95
„Wilł morski 3 t.	2.85
„Wyga	0.95
„Ze w krwi	0.95

NIKT NIE ZAPRZECZY,

ŻE JEDNĄ Z NAJAKTUALNIEJSZYCH KSIĄŻEK

OSTATNIEJ DOBY

JEST **NAJA TRIPUDIANS**

(ŻMIJA EGIPSKA)

ANNIE VIVANTI

W ZNAK OMITYM PRZEKŁADZIE T. JAKUBOWICZA

CENA ZŁ. 3.

Z PRZESYŁKĄ POLECONĄ ZŁ. 3.50.

Machowiczowa Zofja

ZBIÓR MONOGRAMÓW

z przesyłką zł. 5.

Milaszewska. Zatrzymany zegar	3.20
Maupassant. Panna Fifi	0.95
Perzyński. Raz w życiu	6.—
Reymont. Chłopi (całość) wyd. popr.	9.—
Tetmajer. Anioł śmierci 2 t.	1.90
„Księżniczka Metella	2.—
„Waterloo	0.95
Twain. Król i osioł	0.95
Wells. Wehikuł czasu	0.95
Winawer. Lepsze czasy	0.95
Żuławski. Na srebnym globie t. I	0.95



ROK LIX

PIŚMIENIOWO ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 3 KWIETNIA 1926 ROKU.

Nr 14

TREŚĆ NUMERU: Cud wielkanocny — *Marja Dąbrowska*. Święta małej córeczki — *Helena Boguszewska*. Wielkanoc — *Felicja Kruszevska*. W sprawie dzieci opuszczonych — *Marja Dunin Sulgustowska*. Pośrednictwo pracy dla służby domowej — *C. Walewska*. Myśl o tem co chcesz (dokończenie) — *Helena Ceysingerówna*. Lato (c. d.) — *Janina Przecławska*. Podbój siedziby (c. d.) — *Rudyard Kipling* (tłum. *Koziell-Poklewska*). Córnka Boga (c. d.) — *Z. Zawiszonka*. Kazanie Skargi — *N. Samotyłowa*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Popis gimnastyczny. Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Szal robotą szydełkową. List o modzie — *W. D.* Reforma gospodarstwa domowego — *Felicja Sachsówna*. Różne sposoby nakrycia stołu — *I. S.* Zużytkowanie resztek święconego — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jaremką i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.) — *Hugh Walpole* (tłum. z angielskiego *Irena Wasutyńska*). ARKUSZ WZORÓW.

CUD WIELKANOCNY

Kiedy nas dotknie klęska...

Kiedy Gorzkie Żale zdają się rozlegać nad całym światem...

Kiedy w Wielki Piątek swojego życia, w godzinę nielitościwej próby stoimy, płacząc pod krzyżem..

Kiedy nasze rozszarpane serce jest przepełnione uczuciami, które wielkopostna kantyczka wyraża prostowato, mówiąc w te słowa:

nie był taki, ani będzie
żadnemu smutek na świecie...
Obym że ja to mogła mieć,
żebym mogła teraz umrzeć.

Kiedy gorycz cieknie przez nas zamiast życia, i nic się nie daje osiągnąć i wszystko jest za daleko i za wysoko dla tej przepaści, na której dnie leżymy pokruszeni na gruzy...

Kiedy przychodzi na nas, biednych, czarna godzina.....

Wtedy zjawia się nam ku pomocy nieoczekiwany sojusznik.

Daje o sobie znać w ostatniej chwili, kiedy jesteśmy pewni, że przepadamy, ale nigdy nie przychodzi za późno.

Jest nie takiej natury jak nasza potoczna rzeczywistość, lecz daje się uczuć we wszystkich jej przedmiotach, przywracając rzeczom i ludziom stracony urok i wartość, którą zniweczyło cierpienie.

Sądzimy się bliscy śmierci z bólu, a on obdaru nas niezrozumiałą siłą do zniesienia najstraszniejszej żałoby.

Nasze usta nie są w stanie chociażby się uśmiechnąć — a on posiewa nam w sercu nieposkromioną radość dziwnego rzędu, tyle samo niewinną, co zakwitanie fiołków na miejscu jeszcze poranionem przez ostrą, dziką zimę.

Wołamy w rozpaczy, że nie warto jest żyć, a on głosi tętnem czegoś co jest istotniejsze od przypadków ziemskiego bytu, że jest warto, i że tak samo warto żyć w boleści, jak w radości.

Krzyczymy, że niema radości — a on woła naprzekór, że niema nieszczęścia, jest tylko niewłaściwy nasz stosunek do zjawisk życia.

Jakże nazwiemy inaczej tego Sojusznika, jak nie imieniem Boga w naszym sercu? Boga, tej twórczej tajemnicy bytu, której przejawem jest wszystko, co istnieje, od gwiazd pałających w przestworzu, do martwych pozornie przedmiotów, zdziałanych ludzką ręką.

Cud Wielkanocny wyraża w największym natężeniu to zmartwychwstanie Boga w gruzach naszego serca.

Gdy usta prostych ludzi zaczynają rozgłaszać nowinę, że:

„wstał Pan Chrystus z martwych ninie,
uweselił lud swój mile”

wtedy znika przegroda pomiędzy nami, a brzoza, która kwitnie, i dzwonem, który dzwoni.

Zapomocą tej pieśni czyni nam się wiadomem, że cokolwiek spotka nas w życiu, nie wolno nie dać rozkwitnąć w sobie kwiatom i drzewom, gdyż jedynym prawem naszego życia jest rosnąć, kwitnąć i tworzyć.

Zapomocą tej pieśni stajemy się tedy sami, jak ogród kwitnący, po którym Bóg Zmartwychwstały chodzi i woła nas po imieniu, jak wołał kiedyś na Marię z Magdali.

I my cośmy sądzili, że mamy sobie odjęte wszystko, przeobrażamy się znienacka w stół, zastawiony posiłkiem godnym Boga.

W stół, przy którym wieczerali Uczniowie w czarnej żałobie i do którego Chrystus podszedł pytając:

— Czy macie tu co zjeść?

— Tak jest, Cierpliwy Sojuszniku, dziś mamy czem pożywić ludzi i Ciebie.

I o jedno Cię tylko prosimy, Boże wiekuistej wiosny, utajonej w sercu człowieka, rozpostrzyj słodkie uradowanie Twojego Alleluja, na wszystkie ciężkie dni naszego życia.

I daj nam dobrą wolę — i broń nas przed pychą cierpienia, która nam każe odrzucać Twoją pomoc.

I niech przepadnie w nas odwieczny Tomasz, który wierzy swym ręką, a sercu swemu nie wierzy.

Maria Dąbrowska.

ŚWIĘTA MAŁEJ CÓRECZKI



dziewczynki powoli wracały do domu. Na wielkim placu przed kościołem przystały około żelaznego ogrodzenia skweru, i patrzyły, jak z wilgotnej, świeżo poruszonej i uprawionej ziemi, rozbitej na równusieńkie, prawie jednakowe grudki, sterczały przycięte, nagie pręty jakichś krzewów o korze szaro-zielonej, jakby pełnej życia. Powietrze było chłodne, ale już chwilami pachniało wiosną. Zadał ostry wiatr i zrobiło się zimno.

Poszły dalej i znowu zatrzymały się przed wystawą sklepu. Na sznurku, zawieszonym wpoprzek okna, wisiały wielkanocne jajka z czekolady i jakieś inne, różnokolorowe. Zaczęły „wybierać sobie” najładniejsze.

— Ja wybieram to różowe ze złotem.

— A ja czekoladowe z zajaczką.

— Czekoladowe zjesz i nic nie będzie, a moje różowe zostanie.

— Właśnie, że nie zjem.

— Zjesz. Sama wiesz, że zjesz na pewno!

Zastanowiła się młodsza siostra. Zawahała.

— To ja mogę wybrać jedno czekoladowe do zjedzenia, a jedno takie, żeby było na zawsze.

Starsza poczuła się nagle, jak dorosła.

— Możesz wybrać i dziesięć, bo i tak nic z tego nie będzie!

— To też ja tylko tak na niby...

Mijały teraz opuszczony plac z zaczęłą jakąś budową, ogrodzony parkanem z desek. W rogu parkanu przy kupie gruzu wychodziły z ziemi czerwone jakieś kielki. Zaczęły się już rozwijać czerwono-zielone, małe listeczki. Dziewczynki przystały.

— Jak się liście rozwijają, to będziemy grały w zielone.

— Ale tylko wtedy będzie się liczyło, kiedy listek będziesz miała w ręku, albo w kieszeni, a jeżeli na stole, to na nic!

Przy wielkiej kamienicy, obsadzonej dzikim winem, słuchały, jak świergocą wróble. Nawet nie było ich tak bardzo widać w połatanych, nagich, węzłowatych, łodygach — i było — tak, jakby świegotało, śpiewało, ćwierkało, całe to wiosenne, chłodne powietrze!

— Jak myślisz, czy ich tam jest dziesięć tych wróbli? — rozważała młodsza.

— Co, dziesięć! Ich jest conajmniej, conajmniej... Zawahała się starsza, co powiedzieć: pięćdziesiąt, czy tysiąc?

Ale mała już patrzyła w inną stronę.

— Patrz, patrz! Widłaki niesie!

Człowiek z koszem pełnym mchu i sośniny powiewał ku nim wiązką widłaków. Frunęły w powietrzu, jak jasno-zielone sznurki, zapachniały świeżością, chłodem i lasem.

— Kupmy! — prosiła mała.

Ale starsza siostra już pociągnęła ją dalej.

— Poco? mama nic nie mówiła. Przecież to do ubrania stołu na święcone.

Zamilkły obie.

Zapadał przejrzysty wiosenny zmierzch. Gdy wchodziły do czarnej bramy, zapalono latarnie.

W domu — jak zwykle. Matka coś szyła, latała, potem poprawiała kajety czerwonym ołówkiem. Duży brat niby to się uczył, ale ciągle tłumaczył matce, że choćby nawet miał dwie dwójki na okres, to i tak nic.

— Bo ta z polskiego, to tylko za to ćwiczenie — wie mama?

— A ta z geometrii, to znowu, że tego kajetu nie było, i on t k się oto rozżłościł, wie mama?

Ojciec wrócił ze swoich wiecznych komisji, czy sesyj, mówił do matki, że stosunki są nie do zniesienia, że coraz ciężiej, że trudno wytrzymać.

Wieczór upływał i nikomu nie było nic do tego, że czerwone kielki wychodzą z ziemi pod parkanem, a człowiek z koszem pełnym zieleni ciągle jeszcze roznosi całe pęki widłaków.

Rodzice rozmawiali ze sobą, coś rozważali, a dzieci nie słuchały, bo myślały, że rozmawiają zwyczajnie.

Aż duży brat zmiarkował, że wcale nie rozmawiają zwyczajnie, tylko o tem, czyby się nie dało pojechać na święta na wieś do wujostwa mamy. Tylko trzeba zaraz do nich napisać.

Duży brat znieruchomiał i trącił siostrę.

— Tak dawno nie byłam na wsi na wiosnę — mówiła matka powoli, patrząc w czarne okno.

I odrazu zrobiło się tak, że i czerwone kielki, i widłaki i wiosenne świegoty wróbli stały się ważne i bliskie.

— Zaraz jutro wyślij list. Chyba to się da zrobić, jeśli tam się nic nie zmieniło.

Przy stole, okrytym ceratą, zawrzało, jak w ulu.

— To tam, gdzie mama zawsze jeździła, jak nas jeszcze nie było na świecie, prawda mammo?

— Najpierw koleją, a potem końmi, prawda mammo?

— Na stacji będą czekały konie, prawda mammo?

— Będzie czekał drabiniasty wóz?

— Dlaczego drabiniasty wóz? Mama słyszy, co on mówi, mamol!

— Bo ja wolę wozem!

— A ja wolę bryczką. Bo bryczką jest lepiej, prawda mammo?

— Mammo, mammo, czy będziemy jechali w nocy?

— Najlepiej niech mama wszystko opowie, jak tam jest!

Więc matka zaczęła opowiadać. Że wyjadą stąd w południe, a tam staną jakoś przed wieczorem. Na malutkiej stacyjce. I zaraz, jak wysiądą z wagonu, zobaczą żółtą, starą bryczkę. Szeroką, parokonną.

— A jakie będą te konie, mammo?

— A czy będzie klacz ze żrebakiem?

— A czy żreback będzie miał dwonek?

— Bóicie się Boga. Nie byłam tam... zaraz, czekajcie! Ze czternaście lat chyba, a wy mnie pytacie, czy żreback ma dwonek!

I opowiadała dalej, jak wsiądą na tę brykę i pojadą drogą wśród pól świeżo zoranych, pachnących ziemią, a skowronki będą tak śpiewały, tak śpiewały... choć żadnego nie będzie można dojrzeć.

— To tak, jak tych wróbli — szepnęła młodsza siostra do starszej.

A potem — droga pójdzie przez laszek brzozowy i będą pachniały młodzietkie listki, które się tego dnia rozwinęły na ich przyjęcie. A potem na lewo od drogi będzie zielone pastwisko i wążutka struga, taka wązka, że tylko po szeregu olch można ją poznać zdaleka. Ale olchy będą jeszcze czarne, bez liści.

A tymczasem słońce już będzie nisko nad lasem. Las ciągnie się za tem pastwiskiem, za tem błoniem, daleko, i wydaje się całkiem siny.

A potem będzie łysy, piaszczysty pagórek. W lecie tam rośnie macierzanka — i pachnie w słońcu. Ale na samym wierzchołku nic nie rośnie, i można znaleźć w piasku malutkie muszelki, przejryste, różowawe...

— Uzbieram całe pudełko — postanowiła starsza dziewczynka.

— I ja też uzbieram całe pudełko — przywodziła młodsza.

A potem będzie taka mała wieś.

Ale zanim dojadą do wsi, to już się ściemni, i pozapalają światła w oknach.

A za wsią trochę zboku stoi dworek wujowstwa. Psy będą czekały, a babcia wyjdzie na ganek i powie: jesteście? A ja już się niepokoiłam, że coś się złego w drodze stało! — ale o tem to już matka (powie jutro wieczorem, bo teraz jest późno i trzeba iść spać).

Jednak musiała opowiadać długo w noc, bo najmłodsza dziewczynka

nie mogła usnąć, wyglądała jakoś dziwnie i błagała, żeby opowiedzieć, co będzie rano, kiedy się obudzą.

Więc mówiła matka szeptem, żeby nie obudzić reszty, że rano, jak się obudzą, jak zobaczą bielone ściany i słońce w szparach okiennic i posłyszają, że gdzieś daleko w podwórzu kwacze kura i szczeka pies, to nie będą mogli zrozumieć, gdzie są. A potem, jak sobie wszystko przypomną, to tak się ucieszą, tak się ucieszą! I zaraz otworzą okiennice i okna, i cały niski, biały pokój napełni się takim blaskiem, taką pogodą, że choćby tam kto nie wiem, jak lubił wylegiwać się w łóżku — to zaraz wstanie. A po śniadaniu pójda wszyscy do lasu, wąską ścieżką przez pola. Słońce będzie prażyło, jak w lecie, i ani jednej chmurki na niebie. Skowronki...

Gdy wejdą w las — wszystko się zmieni. Obejmie ich wilgotny, pachnący chłód, i z początku będzie się zdawało, że tu jest mniej wiosny, niż na polu. Bo tyle zesłych liści, a nowych jeszcze prawie nie widać. Ale na małej okrągłej polance, zalanej słońcem, nie kto inny, tylko ona, najmłodsza córka, znajdzie pierwszą błękitną przylaszczkę i zawoła: „zgadnijcie, co ja mam“! I wszyscy się bardzo zdziwią! A potem okaże się, że przy zwalonej kłodzie rozkwitło dużo, dużo przylaszczek, i wszyscy zaczną je rwać.

— Ale zawsze będzie się liczyło, że ja znalazłam pierwszą?

— No tak, naturalnie. A potem będziemy rwali widłaki i zobaczymy, czyj najdłuższy?

— A jeżeli mój będzie najdłuższy?

— To opaszysz się nim tak wpół, i przez ramię, a potem dasz babci do ubrania stołu.

— To ten człowiek sprzedawał widłaki i ja chciałam kupić.

Mała córka zamknęła oczy i zaczęła drzeć.

Ale nazajutrz i następnych dni, i przez cały czas jej choroby, matka musiała jej opowiadać o tym wyjeździe na święta, choć tamci już dawno pojechali z ojcem.

Więc opowiadała, jak po obiedzie wszyscy zasiądą na ganku i będą rysować woskiem na jajkach różne desenie. A potem ugotują jajka w czarnej farbie, i jeszcze w żółtej, i jeszcze w czerwonej — i zrobią się śliczne p'sanki.

— I ja zabiorę moją do Warszawy i będę ją miała na zawsze! Nie chcę jajka różowego ze złotem, bo pisanka ładniejsza, prawda mammo?

— Daleko ładniejsza — i matka opowiadała dalej, jak na trawniku pod oknami jadalni mała córka znajdzie pierwszy, rozkwitły fiołek.

— Będzie miał krótki ogonek i nie będzie mógł stać prosto nawet w najmniejszym dzbanuszkach na kwiaty. Taki będzie malutki i jeszcze nie całkiem rozwinięty, ten pierwszy fiołek! Ale będzie cudownie pachniał.

— Więc co z nim zrobimy, mammo?

— Wiesz co? W salonie, tam gdzie prawie nikt nie siedzi, i jest zawsze trochę zimno, i wszystkie meble są w pokrowcach, stoi na kominku porcelanowa, malutka kwiaciarka z koszyczkiem takim małym, małym, niż naparstek. Poprosimy babci, żeby pozwoliła tę kwiaciarkę postawić na stole



w jadalnym, nalejesz wody do koszyczka i włożysz fiołek, tam będzie mu dobrze.

— To doskonale, mamol! A co z tą kurą?

— Z jaką kurą?

— A z tą, co kwoktała zaraz rano, jakeśmy się obudzili.

— Ach, z tą! Dobrze, żeś mi o niej przypomniała. To jest taka kwoka popielata, i tylko na skrzydłach ma odrobinę białego. Wysiedziała kurczątko. Babcia trzyma je w garnku pełnym pierza, przy piecu, bo są jeszcze bardzo małe. Wyjmuje je z garnka i stawia na deszczulce, i sypie im posiekane, twarde żółtko. Kurczątko ucza się jeść. A to najmłodsze jeszcze nie potrafi, kiwa się na nóżkach i uderza dziobkiem o deseczkę.

— Babcia da mi je do ręki?

— Napewno da. Tylko nie na długo.

— A mama lubiła kurczątko, jak była mała?

— Czy lubiła? Naturalnie—lubiła bardzo i kurczątko, i kaczątko, i kocięta. Ale najwięcej brązowego wyźła, który miał jedno oko żółte, a drugie niebieskie i sam z siebie, bez naku, przynosił wujowi pantofle. A w ką-

ciku za owczarnią matka urządziła sobie domek i kuchnię z serwisem z potłuczonej salaterki w niebieskie kwiatki. I jeszcze w jednym miejscu tuż za ogrodem, który się nazywa „Stary folwark”—zawsze robiła sobie ona wiosną ogródek. Bo tam była kupa kamieni i żwiru z dawno spalonego domu, i jedna jedyna wierzba, która miała bazie tak pachnące, jak żadna... I jeszcze stokrotki...

Gdy powrócili brat i siostra z ojcem i po tem można było napewno poznać, że święta już minęły, najmłodsza dziewczynka spytała spokojnie.

Czy na kominku w salonie stoi ta malutka kwiaciarka z koszyczkiem? A kurczątko czy już umieją dobrze jeść posiekane żółtko? Chodziliście na „Stary folwark” po bałki? Na trawniku pod oknami jadalnego czy kwitną fiołki?

Odpowiadali i dziwili się, skąd ona wszystko wie, jakby tam była z nimi.

— Wiem nawet lepiej od was, bo wyście tam byli tylko raz, a ja, a ja...

Nie wiedziała, jak powiedzieć i tylko spojrzała na matkę. Wszyscy się śmiali, tylko matka się nie śmiała i kiwnęła głową w odpowiedzi małej córce.

Helena Boguszcowska.



FELICJA KRUSZEWSKA.

WIELKANOC

Różowiły szyby
u okien nad ranem,
pachniało fiołkami,
pachniało szafranem,

pachniało wanilią,
ciastem i mięsivem,
ciepłą, mokrą ziemią,
mchami i igliwem.

Pachniało pod wieczór
chłodem i piwnicą,
w dzień smolnie, radośnie
pachniało żywicą.

Wiatr krzyczał z radości
z rozkoszy zamierał,
okna pootwierał,
drzwi w domu rozwierał.

Miękkim, ciepłym śmiechem
drgało wciąż powietrze,
kurz nad drogą tańczył
z uciechy na wietrze.

Śmiech w gardle zatapiał
różowe pazurki,
śmiały się przy kawie
babki i mazurki.

Cieszyło się wszystko
z malutkiego święta,
bieluchne króliki,
brązowe źrebięta.

Psy, jak duże kule,
miękkie i puchowe,
łapki kładły na stół
a na ramię głowę.

Biegły gdzieś, jak chodnik
śliczny i jaskrawy,
szmaragdowe zboża,
młode chłodne trawy.

Las był jak szal ciepły,
otulał ramiona.
Już jesteś „daleko”
iuz jesteś „zgubiona”.

Rzeka uciekała,
dyszała w pośpiechu,
krzyczała coś głosem
rywającym się od śmiechu.

Tupały po piasku
zwinne małe fale—
Niema tutaj miasta—
Jego niema wcale.

W SPRAWIE DZIECI OPUSZCZONYCH



Niejednokrotnie spotyka się na ulicach Warszawy większe, lub mniejsze gromadki dzieci, włóczące się widocznie bez celu. Czasem się kłócą i wymyślają sobie wzajemnie, czasem się biją, czasem zbiorowymi siłami krzywdzą najmniejszego, najsłabszego, czasem gonią, obrzucając przezwiskami, a nawet kamieniami niemowę, lub głuptaka.... Takie obrazki napełniają nas smutkiem i goryczą nie dlatego, abyśmy myśleli, że te wszystkie dzieci są złe, zepsute, zwyrodniałe, lecz że takimi stać się mogą, gdyż bezczynna włóczęga po ulicach wielkiego miasta nasyca liczne sposobności budzenia złych instynktów, dzikich odruchów, znieprawiających wrażeń. A dzieci opuszczone, zaniedbane często przebywają na ulicy, bo w domu jest im źle. Duszo, ciasno, może nawet połamanki i szturchańce, na ulicy przynajmniej swoboda.

Tak zwani „nieletni przestępcy“ są to przeważnie dzieci opuszczone, zaniedbane, lub pozostające w enormalnych warunkach wychowawczych. Sądy dla nieletnich zawsze stwierdzają konieczności poprawy tych warunków, czy to dając napomnienia rodzicom, lub opiekunom, czy umieszczając w zakładach wychowawczych. Ale sądy mają do czynienia tylko z tymi, których czyn niezgodny z prawem został ujawniony, a jakże liczne są wypadki, gdy winowajca umyka niedostrzeżony i zachęcony bezkarnością znowu „próbuję szczęścia“. Przeciwdziałać tym zgubnym wpływom, chronić od nich dzieci opuszczone jest obowiązkiem społeczeństwa. W organizmie zdrowego narodu nie może istnieć kategoria dzieci zaniedbanych, opuszczonych, bezkarnie krzywdzonych. Jeżeli kategoria taka istnieje, to społeczeństwo musi wszystkie siły wyteńczyć, by dla tych dzieci stworzyć ludzkie warunki istnienia i normalnego rozwoju. To też liczne są u nas zakłady, opiekujące się dziećmi, dające im przytułek, pożywienie i wychowanie. Ale to wszystko jeszcze jest niewystarczające i z radością witamy każdy nowy objaw troskliwości społecznej a w tym kierunku. Niedawno powstała Liga opieki nad dzieckiem opuszczonym, zaniedbanym i krzywdzonym, ma ona na celu przyjsie z pomocą tej najniebezpieczniejszej kategorii dzieci, której najwięcej grozi niebezpieczeństwo znieprawienia moralnego.

Liga ta rozpoczęła swą pracę w pierwszych dniach stycznia roku bieżącego. Urządziła już poradnię pedagogiczną i lekarską, bo w tak krótkim czasie to tylko dało się zrobić, a teraz przystępuje do pracy nad urządzeniem dla dzieci pracowni typu szwedzkiego. Co to jest pracownia typu szwedzkiego i na czym polega odmiennosc jej od licznych naszych instytucyj dla dzieci, mających zawsze w swym programie pracę ręczną, postaram się w krótkości wyjaśnić.

Wiadomo, że oddziaływanie pracy ręcznej na dzieci i młodzież jest bardzo dodatnie, dlatego wprowadzono ją do programów szkolnych. Metody i kolejność następujących po sobie robót są przystosowane do całokształtu nauki udzielanej w szkole i przedstawiają jeden z czynników w harmonijnym

zespole pracy nad rozwojem umysłowym, moralnym i fizycznym wychowawców.

Pracownie dla dzieci w Szwecji istnieją poza szkołą, nie tworzą z nią organicznej całości, są jakby jej dopełnieniem dla kategorii dzieci, których warunki życia domowego zachęcają, niekiedy nawet wprost zmuszają, do możliwie najdłuższego przebywania na ulicy. (Praca pozadomowa rodziców, fatalne warunki mieszkaniowe, brak opieki, niedostatek i t. p.) Dla tych dzieci więc urządzono pracownie, aby mogły czas wolny od zajęć w szkole tam przepędzać w warunkach zdrowotnych i przyjaznej atmosfery, przy robocie, sprawiającej im przyjemność. Bo dzieci w pracy samej znajdują przyjemność, trzeba tylko starać się, aby odpowiadała ich zainteresowaniom. Zadaniem tych pracowni jest wzbudzenie i rozwinięcie zamiłowania pracy, przyzwyczajenie dzieci do szukania w niej przyjemności. Cały system robót, przyjętych w pracowni, musi uwzględniać przede wszystkim zainteresowania dzieci, zwłaszcza wtedy, gdy zaczynają uczęszczać do pracowni. Wszelka robota może być dobrą, tylko nie zbyt kłopotliwą, lub ujemnie działającą na zdrowie. Pracownia taka powinna wywierać wrażenie domu rodzinnego i dlatego kierowniczka i ci, którzy dają dzieciom wskazówki przy pracy, muszą to być osoby inteligentne, lubiące dzieci, rozumiejące doniosłość pracy społecznej, której się podjęły. One to wytworzyć muszą nastrój wesoły i przyjazny, udzielający się dzieciom tak, że miło im będzie przebywać tam, a nie gdzie indziej. Gdy się dzieci wdrożą do pracy, polubią pracownię dzięki przyjemnym wrażeniom, których w niej doznają, można wprowadzać poważniejsze działy pracy, stanowiące przygotowanie do zawodowej nauki rzemiosła.

To uwzględnianie przyjemności, jaką daje praca, jest zasadą pracowni dla dzieci typu szwedzkiego. Radość pracy budzi szlachetne instynkty, neutralizuje wpływy ujemne, otwiera przed dzieckiem opuszczonym skarbnicę uczuć i wrażeń wzniosłych, przedtem dla niego niedostępnych.

Wewnętrzna organizacja, mającej u nas powstać, pracowni dla dzieci może być w szczegółach odmienna, bo nasze warunki życia i psychika naszych dzieci inne są niż w Szwecji, lecz różnić się nie może co do celu i w dążeniu do podniesienia moralnego poziomu kategorii dzieci krzywdzonych, opuszczonych, znieprawianych, również oddziaływać będzie za pośrednictwem przyjemności, jaką daje praca ręczna.

W Szwecji pracownie te są wytworem inicjatywy społecznej. Państwo, gminy (parafje), samorządy miejskie przychodzą z pomocą, lecz główną może podstawą ich istnienia jest ofiarnosc społeczeństwa. Różne stowarzyszenia, przedsiębiorstwa przemysłowe biorą udział w kosztach, jakich wymaga prowadzenie tych instytucyj.

Najwymowniejszym jednak dowodem zainteresowania społeczeństwa jest czynny udział w pracy samej. Płatny personel w pracowniach jest niewielki, wiele bowiem kobiet inteligentnych, zamożnych, lub nie przeciążonych pracą zarobkową, poświęca bezpłatnie kilka go-



dzin tygodniowo osobistej pracy z dziećmi. Dzięki temu grupy dzieci zajętych jednym rodzajem robót są liczne, lecz składają się z niewielkiej liczby dzieci, co daje kierownicze grupy możliwość skutecznego czuwania nad przebiegiem pracy, nawiązania przyjaznych stosunków z dziećmi, zbadania ich usposobień, indywidualnych zdolności i upodobań. Widziałam te kobiety przy pracy, nie raz jeden tylko, jako gość zwiedzający, lecz przez szereg miesięcy. W dużych fartuchach, osłaniających ubranie, nie budziły strojem wytworniejszym ujemnych uczuć w dzieciach, których odzież nieraz wiele pozostawiała do życzenia. Pogodne, cierpliwe, wyrozumiałe, lecz stanowcze, gdy tego zachodziła potrzeba, prostotą obejścia jednały sobie zaufanie, zżywały się z powierzoną sobie gromadką i przyjazny stosunek nie zrywał się, gdy z biegiem czasu dzieci przechodziły do innego rodzaju zajęć i miały inne kierowniczkę. Zobowiązanie dobrowolne spełniały z drobiazgową sumiennością, zawsze na stanowisku w oznaczonej godzinie, odchodziły, gdy po skończonej pracy wszystkie roboty, przyrządy i materiały były w porządku schowane w miejscu właściwym.

Ład i porządek ułatwiał pracę, nic nie ginęło, niczego nie szukano, wszystko w czasie było obmyślane i przygotowane.

Osobistą pracę nad dziećmi uważały jako służbę społeczną, nie dającą się zastąpić ofiarą pieniężną. Taka praca podwójną korzyść przynosi.

Dzieci, obcując z osobami inteligentnej sfery, bezwiednie ulegają wpływom kulturalnym, a osoby ze sfer zamożniejszych, zetknawszy się z kategorią dzieci, pochodzących nie tylko ze sfery niedostatku i nędzy, lecz nieraz może i z ośrodków zepsucia, mają sposobność głębszego wnikięcia w potrzeby społeczeństwa, poznania przyczyn jego stron ujemnych i następnie z większą świadomością skutecz-

niej pracować potrafią nad usuwaniem tych przyczyn złego.

Organizująca się u nas nowa placówka pracy społecznej jest dowodem odczucia i zrozumienia tej strasznej krzywdy całej kategorii dzieci, spychanej przez nieprzyjemne okoliczności na drogę, jeśli nie zawsze występku, to przynajmniej amoralności. Dotychczas jest to tylko zamiar, odruch sprawiedliwości grona ludzi dobrej woli, usiłujący przejawiać się w formie konkretnej, aby jednak zamiar ten urzeczywistniony przynosił liczne korzyści, niezbędna jest współpraca szerokiego ogółu kobiet — obywaterek.

Lata niewoli pozostawiły nam szlachetną tradycję ofiarnej pracy, bohaterskich wysiłków całych zastępów niewiast o nazwiskach starannie ukrywanych, które narażając się na wielkie niebezpieczeństwa walczyły o życie narodu. Dziś naród zrzucił okowy, żyje, lecz silnym i zdrowym dopiero stać się musi. Jeszcze krwawią ślady więzów, którymi najeżdźca krępował wszelką społeczną pracę narodu. Zgodnie z tradycją przekazaną obecnemu pokoleniu przez bohaterki, przeważnie bezimienne, pokoleń minionych, kobiety polskie niechybnie w dalszym ciągu pracować będą nad ozdrowieniem i wzmocnieniem organizmu narodowego. Dzieci to przyszłość narodu. Podnieść poziom moralny kategorii dzieci opuszczonych, zaniedbanych, krzywdzonych i znieprawianych, dać im zamiłowanie pracy, krzepiące wrażenia dodatnie, to znaczy zapobiegać szerzeniu się zarazy moralnej wśród dzieci, wlewać zdrowe siły żywotne w wycieńczony organizm narodu.

Osoby, któreby chciały zasięgnąć bliższych informacji o Lidzie i zakresie jej przyszłej działalności, zwracać się mogą do sekretariatu Ligi (Jasna 11 m. 4), czynnego codziennie od 4—6.

Marja Dunin - Sulgustowska.



POŚREDNICTWO PRACY DLA SŁUŻBY DOMOWEJ

Skargi na nadużycia prywatnych biur pośrednictwa pracy dla służby domowej szczególnie są głośne zagranicą. W Berlinie z powodu nadużyć, jakie wykryto w kantorach stręczeń, został wydany w 1894 r. przez ministerstwo handlu, przemysłu i spraw wewnętrznych rozkaz zrobienia wywiadów co do działalności tych placówek. Ankieta stwierdziła rzecz niebywałą. Na 5216 właścicieli lub kierowników biur aż 632 odpowiadało kryminalnie za różne przestępstwa, jak paskarstwo, kradzieże, oszustwa, sprzeniewierzenia, cudzołóstwo itp. Żaden z nich nie dbał o zapewnienie służącej dobrego miejsca, lub pracodawcy dobrej sługi. Ze względu na bardzo wysoką opłatę za każdorazowe pośrednictwo (od 5, 15 do 20 marek) zależało im na jak najczęstszej zmianie służby.

Wielkie niebezpieczeństwo prywatnego pośrednictwa pracy zwróciło uwagę rządu austriackiego jeszcze w 1801 roku. W 1803 r. wydano zakaz tegoż pośrednictwa, równocześnie zaś zostały wprowadzone państwowe urzędy pośrednictwa przy komisariatach.

Ale już w 1847 r. cofnięto zakaz i od tej chwili państwowe pośrednictwo przestało mieć znaczenie. W 1863 r. nastąpiły świeże obostrzenia, ale już bezskutecznie. Zarobkowe pośrednictwo wzrastało z roku na rok, zapewniając doskonałe utrzymanie właścicielom biur i t. zw. „kantrowym”. Na 916 biur, zarejestrowanych w Austrii w początkach 1896 r. 46,8% ograniczało się tylko i wyłącznie do zapośredniczenia służby domowej. W wielkich miastach rozwieliło się szczególnie stręczycielstwo mamek.

Podają ich zajmowało się w tym czasie aż 159 przedsiębiorstw. Wszystkie te zakłady prowadziły niesłychanie wyteżoną działalność w kierunku namawiania służby do jak najczęstszej zmiany miejsc, kuszenia jej i ludzenia nieprawdopodobnymi obietnicami, prowadzenia na drogę nieobyczajności, nierządu i czynów, urągających najelementarniejszym zasadom etyki. A jeżeli podobne zarzuty dotyczyły biur pośrednictwa, to czyż nie trzeba było podnosić ich do dziesiątej potęgi, gdy chodziło o t. zw. faktorów, wysłizgujących się jak piskorze z pod nadzoru policji i uprawiających pod pozorem za pośredniczenia handel żywym towarem, lub utrzymujących własne domy publiczne.

Mimo takiego poziomu moralnego i mimo wysokich opłat, ściąganych zarówno z pracodawców, jak i z pracowników,—prywatne biura zagranicą cieszą się nierównie większym popytem, aniżeli biura państwowe, gdzie podaż nawet w połowie nie dorównywa popytowi. W 1900 r. w Berlinie na 7363 pracowników domowych, o które się zgłaszało, biura państwowe były w stanie zaoferować nie więcej jak 3052.

U nas etyczna strona działalności czysto handlowego pośrednictwa nie jest jeszcze dokładnie zbadana. Pojedyncze fakty, nie ujęte w całokształt wykazów statystycznych, dają bardzo niepełny obraz wyników prywatnego stręczycielstwa. Jednak i to starczyło, aby skłonić sfery rządzące do decyzji możliwie szybkiego usunięcia prywatnego pośrednictwa. Uchwalona przez Sejm Ustawodawczy dn. 21 października 1921 r. Ustawa o zarobkowym pośrednictwie pracy prowadzi do zupełnej likwidacji w niedalekiej przyszłości wszystkich zarobkowych biur pośrednictwa pracy. Na zasadzie art. 5 od chwili wyjścia ustawy w życie, t. j. od dnia 10 grudnia 1921 r. nie były już wydawane pozwolenia na prowadzenie zarobkowych przedsiębiorstw pośrednictwa pracy. Otrzymywać je mogły tylko te osoby, które wykazały się posiadaniem dawniejszych koncesyj. Biura pośrednictwa pracy dla służby domowej miały w myśl art. 5 Ustawy ulec likwidacji w ciągu lat pięciu. Ze strony związku tychże biur wyszła jednak inicjatywa zwrócenia się do seimu o zmianę artykułu 5 w tym sensie, by okres prekluzyjny istnienia biur prywatnych przedłużyć po dziesiątym grudnia r. b. jeszcze o trzy lata. Projekt odnośnej noweli do ustawy z dn. 21-X-1921 r. znajduje się więc obecnie w sejmowej komisji ochrony pracy. Jakże będą jego losy, przyszłość pokaże. W każdym razie policja obyczajowa winna wejrzeć w działalność prywatnego stręczycielstwa, póki ono jeszcze istnieje i zebrać odpowiedni materiał rzeczowy.

Pod względem liczbowych wykazów handlowego pośrednictwa sprawa przedstawia się u nas o wiele mniej rozpaczliwie, niż zagranicą. T. zw. „kantorów stręceń” mamy wprawdzie w samej Warszawie 12, gdy społecznych biur zaledwie 5 (przy Związku sł. dom. Chrz. na Kredytowej 14 i na Żórawiej 1, przy Zw. Zaw. dozorców dom. i sł. dom. Leszno 48, wreszcie przy Tow. Ochr. Kob. Mazowiecka 11). Jeżeli jednak wziąć pod uwagę działalność niektórych stowarzyszeń społecznych, które między innymi polecają przygodnie i służbę domową, to w sumie wypadnie pewna, może nawet dosyć znaczna ilość za pośrednictwem dokonanych, a nie ujętych przez statystykę urzędową.

Komunalne pośrednictwo ogranicza się w Warszawie do jednego tylko biura [na Jasnej 11 i filji jego na Pradze, Szeroka 6.

Wyniki ankiety Min-wa P. i O. S. porównane z wykazami biura Kontroli sług, stwierdzają najzupełniej fakt, że służba zawsze znacznie chętniej i znacznie liczniej zapisuje się do kantorów prywatnych, zaś służbodawcy z natury rzeczy dążą do pośrednictwa społecznego i komunalnego.

W ciągu roku od 1-IX-1919 do 31-VIII-1920 dokonano za pośrednictwem w 12 zarobkowych kantorach stręceń 12,045 przy 16,316 zgłoszeniach służby i 19,096 zapotrzebowaniach służbodawców. Przeciwnie zatem na jedno biuro prywatne przypada 1003 za pośrednictwem przy 1359 zgłoszeniach służby i 1591 zapotrzebowaniach służbodawców. W tym samym okresie czasu najruchliwsze biuro społeczne T-wa Ochrony Kobiet wykazuje 1422 dokonanych za pośrednictwem przy 1815 zgłoszeniach służby i aż 5409, zapotrzebowaniach służbodawców, zaś biuro Kontroli służby (komunalne) 1184 za pośrednictwem przy 1842 zgłoszeniach służby i 3763 zapotrzebowaniach służbodawców. Biuro pośrednictwa pracy przy Stowarzyszeniu (obecnie Związku) Sług Katolickich wykazuje tylko 336 za pośrednictwem przy 721 zgłoszeniach służby i 1738 zapotrzebowaniach służbodawców. Ten mały stosunkowo ruch wytłumaczył Zarząd stowarzyszenia tem, iż w biurze jego zapisują się przeważnie same członkinie, które rzadko zmieniają miejsca, co reszta stwierdza także i przeprowadzona wśród nich ankieta.

Dnia 1 stycznia 1919 r. powstało przy Państwowym Urzędzie pośrednictwa pracy biuro, które objęło również i służbę domową.

W ciągu czterech miesięcy (styczeń, luty, marzec, kwiecień) wykazało ono 651 dokonanych za pośrednictwem, co stanowi dosyć pokaźną liczbę! Dalsze miesiące stwierdziły już tylko stały rozwój państwowego pośrednictwa, które w drugim roku istnienia swego dopiero stworzyło poszczególny wydział służby domowej.

Dlaczego?

Proste napozór zagadnienie wiąże się z całym kompleksem spraw, jakie wywołało położenie kraju ogólne. Fala bezrobotnych—niemniejsza, jak dzisiaj, zalewała wieś i miasta. Państwowy Urząd p. p. Przewszystkiem więc zmuszony był troszczyć się o zabezpieczenie ich potrzeb. Stworzono w tym celu roboty publiczne, dobrze płatne, a nie wyczerpujące. Pędził na nie kto mógł. Pociągnęły wraz z innymi także liczne grupy służących, podające się za zredukowane robotnice przemysłowe. Wywiady, przeprowadzone na kilku miesiącach, odsłoniły całą prawdę.

Służba domowa została usunięta zarówno od robót publicznych, jak i od zapomóg państwowych. Wówczas to—ze względu na wielką podaż i zapotrzebowanie—utworzono przy Urzędzie Państwowym odrębny wydział pośrednictwa dla służby dom., mający na celu ograniczenie działalności prywatnych kantorów stręceń i najmu.

Od czasu, w którym przeprowadzone zostały wywiady Min. Pracy, zmieniły się parokrotnie warunki bytu służby domowej. W latach od 1921—23, kiedy bardzo wiele kobiet, nawet prowadzących dom własny i gospodarstwo, pracowało w biurach państwowych, miejskich i prywatnych, rozchwytywane były służące wykwalifikowane i odpowiedzialne, którym powierzano ster rządów domowych. Pierwsze redukcje wywołały powrót biuralistek—meżatek do porzuconych ognisk. Większość usuwała służbę i sama stawiała do robót domowych.

Już wtedy runęły na biura pośrednictwa zastępy służby bezrobotnej, rosnące w miarę powtarzających się kilkakrotnie redukcji. Aż obecnie miesią-

camy szukają posad nawet te wykwalifikowane, które do niedawna jeszcze nie znały kantorów, najmu. Domy noclegowe pełne są tych najbiedniejszych, które wyprzedają się ze wszystkiego, aby przeżyć straszne godziny. Pod mostem Poniatowskiego nocują gromady nędzarek, dla których nie starczyło miejsca w schroniskach. Zawalone są niemi biura i kantory stręczeń. Godzą się za byle co, aby tylko znaleźć kąt do spania i pożywienia.

Gdy rok temu jeszcze ustawa o służbie domowej, która utknęła w sejmie przy trzecim czytaniu, by-

ła dla pań straszakiem, spędzającym im sen z powiek, a dla służby bronią w wywalczeniu sobie ustępstw i przyzwyczajaniu pracodawczyń do przyszłych reform, — dziś — wracają dawne porządki. Służąca przy zgodzie nie pyta o czas i warunki pracy. Zgóry przystaje na wszystko, aby tylko nie zostać bez dachu. Wraz z innymi warstwami społeczeństwa przeżywa służba domowa twardą groźbę bezrobocia, której nie są w stanie zaradzić ani państwowe, ani miejskie, ani też tembardziej prywatne, na zysk obliczone, biura pośrednictwa pracy.

C. W.

HELENA CEYSINGERÓWNA

MYŚL O TEM CO CHCESZ

(nowela)

10

Przez trzy tygodnie Marja nie kładła się wcale, nie rozbierała, a nawet, gdy zdrzemnęła się w fotelu, budził ją zaraz krzyk Zosi, albo my sami budziliśmy ją, z obawy pogorszenia.

Kiedys, widząc jej zupełne wyczerpanie, nie tylko fizyczne, ale i psychiczne także, wiedząc, iż sama zdaje sobie sprawę z możliwości przegranej w tej walce przedziwnej, szepnęłam mimowoli.

— A gdyby mu pani przebaczyła...

Chciałam zaraz cofnąć te słowa...

Spojrzała na mnie wzrokiem złym, nieżyczliwym i odpowiedziała to samo, co Bronce.

— Niema we mnie przebaczenia!

Cofnęłam się przed tą zawziętością. Skurczyłam w sobie.

Po chwili prosiłam ją znowu.

— Niech pani idzie do swego pokoju. Zosia dziś spokojniejsza. Ja panią obudzę w razie potrzeby.

— Nie, nie! Niech pani idzie spać, a jutro z Władziem na spacer, na cały dzień! Trzeba się nim zająć, trzeba go wyprowadzać z tego domu! A proszę uważać!...

Jeździliśmy więc teraz z Władziem konno w dalekie lasy, ale nawet jazda konna, choć zwykle za nią przepadał, nie mogła rozpogodzić wrażliwego chłopczyny.

Mimo wszystkich wysiłków moich, zapadał widocznie coraz głębiej w stan melancholji.

Pan Tomasz, którego ukochanie największym był ten syn, zaklinał mnie o ratunek.

— Pani ma w sobie tyle pogody, zdrowia, tyle naturalnej wesołości!

Robiłam, co mogłam, by dobyć tę duszyczkę z otchłani smutku. Ale ciążyła nad nim klątwa urodzenia.

Biedny zimorodek!

Mróz ścinał jego życie.

Któregoś wieczoru, wróciwszy z dalekiego spaceru, zastaliśmy dom cały w poruszeniu. Zosia wstała się w strasliwym ataku.

Siła psychiczna matki przestała widać działać. Nie pomagały i modły babuni...

— Możeby włożyć ją do ciepłej kąpieli — rzuciłam myśl.

— Dobrze!

Woda gorąca była w kuchni. W jednej chwili przygotowałam kąpiel. Babunia wlała do niej święconej wody, wrzuciła pęk jakichś ziół. Obie z p. Marią włożyłyśmy chorą do wanny, pilnie uważając, by w podrzutach, któremi miało się jej ciało, nie zachwyciła wody do ust i ku niewymownej radości naszej, skutek był natychmiastowy. Pod dotknięciem łagodnej, ciepłej cieczy rozkurczyły się ręce dziecka, ciałem przestał wstrząsać strasliwy spazm i Zosia usnęła nam w kąpieli. Otuliwszy ją w suche, miękkie prześcieradło, przeniosłyśmy ją na łóżko. Tej nocy, pierwszy raz od wielu dni, pani Marja spała bez przerwy, na łóżku i nawet rozebrana.

Odtąd leczyłyśmy Zosię przez pewien czas ciepłymi kąpielami, masażem całego ciała i pasami magnetycznymi, które wykonywała z nad nią matka. Stan jej zdawał się polepszać. Zara też i Władzio poweselał.

Zato z panią Marią działo się coś dziwnego. Po wyczerpaniu bezsennością i kilkotygodniowym bezustannem napięciem mwoli nastąpiła reakcja.

Pani Wazgirdowa zapadała w długotrwałe sny, z których nie można było jej przebudzić. Organizm brał odwet za poprzednie nadużycia.

Tak myślałam ja. Ale babunia widziała w tem coś dziwnego, coś, co napełniało ją najgłębszym przerażeniem.

Coprawda i ja, czuwając nocami przy Zosieńce, myślałam że strachem, coby było, gdyby na małą przyszedł znów ten strasliwy atak.

Jakoż przyszedł, przyszedł najniespodziewaniej, w biały dzień...

— On dusi mnie! — krzyczało dziecko — Mamo ratuj!

Z całych sił szarpaliśmy wszys-



cy p. Marję wstrząsali nią, wrzeszczeli, że Zosia umiera! Daremnie. Kamienny sen nie puszczał jej ze swoich sponów.

Znać było, że się z nim pasuje, że chce się obudzić i... nie może.

Włożyłam Zosię do kąpieli. Skurcze ustały, ale serce słabło z każdą chwilą. Wyjęłyśmy ją więc obie z babunią przy pomocy służącej, ale zaledwie otuliłam ją kołderką, porwał ją nowy atak.

Nie zapomnę nigdy, jak męczyła się ta dziewczyna, jaki wyraz potępięńczy — przybierała jej, słodka zazwyczaj, twarzyczka. Jeżeli nie widziałas nigdy ta kiego ataku, nie masz pojęcia o tem, jak łatwo wtedy przyswoić sobie starą teorię opętania.

To nie było to samo dziecko. To ktoś inny szalał w spazmach i skurczach, śmiał się szatańskim chichotem, palce, do zakrzywionych szponów podobne, wpijał sobie w gardło, wołając: On mnie dusi! Mammo! Mammo!

Wpółniosąc ją w ramionach, p. Tomasz przyprowadził nareszcie p. Marję. Upadła na fotel przy łóżku i... zasnęła natychmiast.

Nie było komu walczyć o życie dziecka.

Już też na razienie było potrzeba.

Zmora, co ją dusiła, odeszła, Zosia leżała wyczerpana i bezsilna, ale zupełnie przytomna. Wzięłam ją za rękę i nie mogłam doszukać się tętna. Przyszło mi na myśl, żeby ją napoić czarną kawą.

Nie chciała, tylko, gdy nachylałam się nad nią, objęła mnie rączkami za szyję i uściśnęła...

Za chwilę przyszedł jeszcze jeden atak. Krótki był. Kilka tylko wstrząsów i zesztyniała w nim na zawsze...

Płacz mój obudził panią Marję... Z krzykiem, którego nie zapomnę, przypadła do dziecka...

Tu panna Klementyna zamilkła i po chwili dopiero cichym głosem zaczęła na nowo.

„Nazajutrz, świt letni rozżłocił się i rozróżnił nad starym dworem.

Wysłałam na ganek z pokoju Władzia, przy którym przepędziłam tę noc, bo chłopiec na widok umarłej siostrzyczki zaczął okazywać objawy tej samej choroby nerwowej i trzeba było go pilnować, gdyż rozpacz jego była nad wiek i nad siły chłopięcia. Ach jakaż smutna była ta noc, jak pełna przeżyć najgorszych i grozy!

A teraz... Powietrze wonne akacją i jaśminem, płaszki budzą się ze świergotem radosnym, dookoła tyle pogody i ciszy... przez błękit czarnymi skrzydełkami migają jaskółki... wierzyć się nie chce w tragedję...

Przeszłam ogrodem, na drugą stronę domu, gdzie w wielkim salonie na katafalku leżała mała, umarła dziewczynka. Zwłoki jej zasypało kwiatami, pokój cały pełen był kwitnących róż. Przez drzwi, szeroko otwarte na werendę, schodzili się ludzie z okolicznych wiosek i zaścianków, wiedzeni pobożną tradycją, a może w części i ciekawością.

Kobiety klękały przy zwłokach i odmawiały

modlitwy, niektóre płakały i zawodziły: że to taki kwiatuszek, taka wiosenka, że jej przyszło tak wczesnie opuścić ten świat. Niektórzy szeptali tajemniczo. Inni głośno oskarżali Syrucia. Sympatje wszystkich były po stronie Wazgirdów, nienawiść i wgarda dla czarownika. Za trumną w głowach siedziała na ziemi p. Marja. Nie płakała. Oczy miała zamknięte, głowę opuszczoną, jakby w zamyśleniu głębokim, czoło przeryte grubą zmarszczką. Czułam, że nie widzi i nie słyszy nic z tego, co działo się dookoła.

Dusza jej odeszła... pomyślałam.

Wtem, w drzwiach werendy ujrzałam wysoką i smukłą postać kobiecą, w chustce na głowie.

Podeszła prosto do mnie i rzekła bardzo cicho.

— Przyszłam powiedzieć, żeby państwo byli spokojni! On już nie żyje... Umarł tej nocy. Śmierć miała okropną... Jeśli masz panienko trochę miłosierdzia, pomódl się za duszę starego złego człowieka...

Potem przyklękła przy trumnie.

Widziałam, jak ze strachem i zgrozą odsuwali się od niej wszyscy; więc zmówiwszy krótki pacierz, wstała i smutna, ale z wyrazem dziwnej godności w ruchach, schodziła ze stopni werendy. W tej chwili zaturkotał pojazd jakiś przed domem, a mnie przejął niepojęty lęk.

W kilka minut później, po tych samych schodach szedł p. Tomasz, a obok dwaj oficerowie żandarmerji: Einhorn i naczelnik żandarmerji z gubernialnego miasta.

Zdjęli czapki i cichym krokiem podeszedszy ku p. Marji, którą im wskazał mąż, skłonili się.

Nie drgnęła.

— Darujcie, że w takiej chwili — rzekł starszy rangą — ale to... obowiązek...

I, rozwiniawszy urzędowy papier, odczytał głośno wyrok generał-gubernatora, skazujący całą rodzinę Wazgirdów prawem administracyjnym na przesiedlenie do oddalonych gubernij cesarstwa. Jako powód podane było szerzenie niepokoju w kraju i nieprawomyślność.

Zostawiano skazanym miesiąc czasu na uregulowanie interesów.

Nim skończył jeszcze, przez otwarte drzwi werendy wpadła para jaskółek. Zatrzepotały czarnymi skrzydełkami nad głową umarłej i radosnym świergotem, w błyskawicznych skrętach, mignawszy kilka razy po wielkiej sali, rzuciły się z powrotem w przestwór błękitu...

Zamilkła stara nauczycielka i długo milczałyśmy obydwie.

Po chwili szepnęłam.

— „Dziękuję!”

A panna Klementyna.

— „To w odpowiedzi na pytanie, czy znałam w Polsce ludzi tragicznych... Co zaś do wszystkich tych innych niepojętych rzeczy... to... myśl o tem, co chcesz.”

(Koniec).



JANINA PRZECŁAWSKA

L A T O

2

Nad ich głowami zawarczały wielkie skrzydła aeroplanu, tuż za nim drugi i trzeci, oczy ich mimowoli utkwiły w ruchach olbrzyma — ptaka, myśl jednocześnie poruszyła świadomość, oderwaną od zwykłego kierunku zewnętrznych wrażeń!

— Pani Zino! Zino, szepnął niemal błagalnie.

Zwróciła całą twarz ku niemu nieco zdumiona tą poufałą nazwą.

— Tak, rzekła po chwili, prosty wynik przyzwyczajenia lat dziecińczych, które zmieniło rozłączenie. Właściwie to przyjacielskie „ty” powinno zostać, to tak upraszcza stosunki z każdym mężczyzną.

— Z każdym? zaczął niepewnie.

— Tak, to dodaje naturalności, zbliża i...

— Pani to uważa za dobre?

Mimowolnie powrócił do etykietalnej nazwy.

Bezwątpienia. Na tym tle przychodzi porozumienie, koleżeństwo w pracy niemal wymaga odrzucenia tej etykietalności, w której naprawdę nic grzecznego niemal! dodała pogardliwie!

— Czy nie uprawnia to zbyt wiele we wzajemnych stosunkach płci do siebie? Czy...

— A dosyć, nie znoszę zbyt głębokich wnikań w nierozwikłane problemy. Mnie osobiście tak jest wygodniej.

A zważ Wacławie, wyrzekła śmiało, że dziś główną podstawą życia nowego jest wygoda. Kobiety przystosowują się do tego czynnika ważnego z radością, tem szybciej, im bardziej je krępowano dawniej. I nic w tem dziwnego. Wygoda, przyjemność, zadowolenie chwili to nareszcie prawdziwa i jedyna zdobycz realna. Nareszcie jesteśmy istoty wolne, jak wy, brać chcemy od życia wszystko, co życie daje, użyć wszelkich rozkoszy, mieć zawsze swobodę czynów, urządzić się wedle woli, lub kaprysu, wykorzystać atuty przyrodzone, chcemy być i my paniami świata, bez zastrzeżeń, bez narzuconych formułek i obowiązków. Wolno nam nareszcie być takimi, jacy jesteśmy, a nie jakimś sztucznie w naszej wyobraźni utworzonym ideałem. Musimy rozwinąć nasze naturalne skłonności wedle potrzeb naszych istotnych — ach!

Wyrzucała słowa jednym tchem, jakby nareszcie rada, iż ją wysłucha cierpliwie męski osobnik.

Uśmiech nieco gorzki błędził po wargach mężczyzny. Przystanął, ahy podać jej rękę przy przejściu na drugą stronę, ale wymknęła mu się, przeskakując zwinnie i stała już roześmiana.

Patrzył na nią jakby innymi oczami. Co było w niej kokieterją, pozą, a co szczerą, istotną prawdą, pragnieniem siły i woli? 15 miesięcy temu dla tej kobiety w chwili uniesienia wpakował sobie kulę pod czwarte zebro, długo walczył ze śmiercią i tyle mu różnych myśli przeleciało wówczas przez głowę. Zdawało mu się, że po tej wędrówce do krajów, skąd się nie wraca — ozdrowiał, otrzeźwiał, — a oto znowu ciągnęła go innym sposobem, jakimś pozorem myślenia. Czyżby?...

— Panno Zino, niech mi Pani powie, czy Pani często myśli?

— Staram się jak najmniej!

— A czy Pani czuje?

— Co za sentymentalizm — tyś romantyk Wacławie! To nie dzisiejsza potrawa i należy o tem pamiętać. Co to właściwie jest czucie?

— O ile wiem, jest to rozumienie innych, współczucie na ból czyjś — rachowanie się z czymś sercem i nerwami.

Niemal okrutny błysk zaigrał w jej spojrzeniu.

— I braniu odpowiedzialności na siebie, jeśli nasza uroda uderza was, jeśli robi wam przyjemność patrzenia i podziwiania naszej postaci i nie liczenia się z tem, czy wasza postać, wasza uroda przypada nam do gustu. Dlatego jesteśmy okrutne i odpowiadamy za wszelkie szaleństwa, które wam przez głowę przejść zechcą! Daruj, ale z tem raz na zawsze skończyć musimy!

Szła przed nim zwinna, spokojna — zadając mu cios po ciosie każdym powiedzeniem, które mu chłodem owiewało serce, — pewna, że patrzy na nią z podziwem, że stanowi miłą atrakcję dla jego oczu na tle poczynającej się zieleni parku i dalej w głębi rozpościerających się już piasków wiślanych.

— Oto i plaża — idziesz ze mną?

Milczał — trochę zły na siebie, na nią, na myśli swoje, na całe życie, które mu tak jakoś wikłało wyobrażenia, ścinało uczucia, przekręcało poglądy. Zatracał się w tem, nie mogąc chwycić właściwej nitki nowych prądów, codziennego innego pojmowania, które waliły go w łeb prostotą swoją i suchą sentencjonalnością, w której on, romantyk, jeszcze szukał serca. Raziła go racjonalna praktyczność zastawiania chęci, myśli, do czynów.

Logicznie biorąc nie była winną Zina, ani tyśiące jej podobnych, że się wpatrywano w ich oczy, zielone, szare, niebieskie i że im, świadomym swego uroku, było przyjemnie widzieć działanie tego czaru, i że bezwątpienia nie było ich winą, jeśli nie spotykały tych, którzy im odpowiadali wyobrażeniom o urodzie. To nie było ich winą, że, dostarczając innym estetycznych wrażeń, z rozkoszą szły w krzyżujące się ognie spojrzeń męskich, wykorzystując dla siebie to, co się im należało, bez spodziewanych odruchów serdecznych.

Patrzył na nią i czuł, jak się w nim zmieniało wszystko i stygło, jak mu się stawała obca ta kobieta, dla której o mały włos nie załamał się ostatecznie.

W tej chwili był tak niezmiernie dalekim od tego wszystkiego, co stanowiło jej zabawę, że nagle odczuł olbrzymią radość, iż nic nie zakłóci jego własnego królestwa myślą, że nie pójdzie z nią — że pozostanie w nim ukryte to, co przeorało się w jego sercu.

— Idziesz ze mną? powtórzyła donośnie, suchym tembrem, który zabrzmiał, jak rozkaz.

Usunął się spokojnie, ale stanowczo.

Nigdy nie mogła zrozumieć tego wesołego spojrzenia, które jej rzucił na pożegnanie.

— Do widzenia.

Z radością pozostał sam.

II.

Wielka, piaszczysta wydma nad Wisłą roiła się od ludzi różnych typów i płci. Słońce, rozgrzane do potęgi, paliło ogniem, woda gorzała od tych promieni, gorzeły całe masy piasku, w których tonęły boscie stopy — żarłem dyszało powietrze.

Wacław przychodził tu już po raz czwarty jako ciekawy widok jedynie, siadał zdaleka i przyglądał

się. Pierwsze wrażenie było odurzające. Oswoił się z tem szybko. Nawpół nagie kobiety młode, stare, piękne, brzydkie płatały się w jeden chaos nagich ciał tak, że już po chwili zatracił się zmysł rozróżniania przynależności, poczucia odrębnej urody. Widziało się mężczyzn i kobiety w wielkiem zgrupowaniu, roztopionych w słońcu — tarzających się w piasku gorącym, olśnionych zielonością i blaskiem przestrzeni, pod błękitem bez chmury.

Szukał wzrokiem Ziny, ale jej nigdy nie znajdował, chociaż widział ją idącą, ale tonęła wnet w tej ilości czerwonych, niebieskich, czarnych, lub żółtych pantaloników, pstrych czepeczków, wysmukłych nóg i obnażonych biustów. Spokojnym, obojętnym wzrokiem ogarniał je wszystkie, pił piwo z wielkiego kufła pomału i dziwił się, niepomierne się dziwił.

Oto dla jednego z tych ciał kobiecego gatunku, ledwie że nie zatracił zdolności myślenia. Dla kobiety, której myśli nie znał, która drogę swą kreśliła na zupełnie innej niż on platformie, która obcą mu była każdym zewnętrznym nawet odruchem. Jak on mógł? Dla jednej z tych zlewających się z sobą w ogólnych zarysach, tak, że nawet odrębność jej uchwycić mu było trudno, dla tego zewnętrznego wrażenia chciał zatopić cały długi okres swoich rozważań, osłabić siły, załamać się, zaprzęścić jeden żywotny prąd, dodawany do prądu wszechświata,

zginąć jako indywidualny sens, potrzebny wśród odrębności żywych komórek, z których się składa twórcze życie ludzkości — odłączyć się i zginąć. Jak on mógł? On, i tylu innych szaleńców, którzy lecieli za błędnym ogniem cielesnych, przelotnych wrażeń.

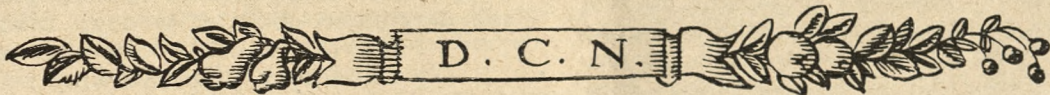
Chciałby im krzyknąć: „Nie zabijajcie wieczności dla chwili.“

Tak patrzył i czuł dziś Wacław, oswojony z linjami ciał, których nagość w nieskończonej liczbie przytępiała gryzący smak uniesień fizycznych. Miłość, ta odwieczna pobudka życiowych kolizyj, ten główny motor ludzkich poczynań, najwyższy szczyt uszczęśliwienia i mąk, jakże w odmienną przyoblekał się formę!

Piękne i brzydkie kształty ginęły w chaosie, a po nad nimi wyrastał zmysł nowej wyczuwalności, subtelnych wibrujących wzruszeń ducha — równie potężny krzyk myśli połączonej z myślą nierozdzielną mocą wzajemnych doskonałych porozumień.

Takimi były i dziś jego rozważania, gdy nagle oczy zwrócił poza siebie, jakby nieprzepartą siłą trącony.

Tuż koło niego na trawie pod rozłożystym drzewem siedziała młoda kobieta. Oczy jej znać dawno były w nim utkwione, kiedy pod ich naciskiem drgnął cały i jednym susem był przy niej.



RUDYARD KIPLING

PODOBÓJ SIEDZIBY

(AN HABITATION ENFORCED)

14

— Paniusiu moja droga, kochana! — zacna niewiasta prawie łkała z rozczulenia. I mówi, że nigdy aniby przypuszczała... czyż paniusi nikt nie uczył co i jak... tak to jest! Rozumie się, że tak, tylkośmy na to wszyscy czekali... nieraz mówiłam lady... Tu ugryzła się w język — a teraz zrobimy wszystko, co do nas należy.

— Ależ ależ... — tłumaczyła się Zosia żałośliwie.

— I patrzcie, tak pracowicie o wszystkim myśłą, ścielą gniazdko, ściągają fortepiany, książki, a mnie starej do głowy nie przyszło pomyśleć o dziecinnych pokojach.

— Ani mnie, — Zosia siadła sztywno wyprostowana, zaczynając się już śmiać..

— Dość jeszcze czasu — mówiła zamyślona, stukając palcem w kolana.

— Ale dziwni są ludzie tam, za oceanem. Trzeba żeby pani posłała po swoją matkę...

— Nie żyje!...

— Moje biedactwo! Cóż robić, wola Boża i w niebie ucieszy się z nowiny. My, to czekaliśmy, ale wiedzieliśmy, że pani spełni swą powinność. A co paniusia mówi o mojej Mary? Jak się sprawa? — Pani Cloke twarz zachmurzyła się groźnie, gdy wyciskała pocałunek na Zosinym czole. Niechno teraz która z dziewczyn popróbuje stawiać się hardo! Ja jej!... Ale żadna nie będzie śmiała. One też zachowują się jak należy.

Gdy pani Zofja wracała polami, ziemia i niebo mieniły się jej w oczach, jak w dniu śmierci starego Igguldena. Przez mgnienie oka stanął jej w pamięci zakręt szerokich schodów, ściana świeżo odmalowana, której róg trumny nie zadrapie, ale cień ów prędko się rozplynął w obłąkanym podziwieniu. Aż się zatoczyła. Oparła się o świeżo założone wrota i patrzyła na swoją ziemię pod nowym kątem widzenia.

— A więc tak — wyrzekła z poddaniem. Musimy je przyjąć, aby się nie czuło trzecie między nami.

Zakrętem, z poza którego odsłonił się widok na Friars Pardon, szła odurzona, słaba, nogi jej mdlały.

I nagle dom ów, kupiony dla zachcianki, ukazał się jej takim, jakim go jeszcze dotąd nie widziała. Obszerny, rozłożysty, od szeregu pokoleń przygotowany na podobne zjawiska. Tak jak ongi objawił się jej w opuszczeniu, tak teraz, pulsujący nowym życiem, kołł swym widokiem, jak zapowiedź nowego szczęścia.

Weszła szybko do pustej sieni i ucałowała odrzwia.

— Bądź mi litościwy i dobry! Zawsze umiałeś spełnić, co do ciebie należało!...

Gdy Jerzy dowiedział się o wielkiej nowinie, koniecznie chciał powracać za ocean, ale pani Zofja oparła się temu stanowczo.

— Nie! medycyna mi potrzebna, a otoczenie kochających serc. W Ameryce niema czasu na podobne zabawki. Przytem wyjazd teraz byłby poniekąd dezercją.

Jerzy musiał poprzestać na telefonicznem połączeniu Pardonu z siecią telegraficzną Wielkiej Brytanji. Trzy ćwierci mili linji i szereg słupów ustawionych przez Whybarna i paru przyjaciół. Jeden z nich pochodził z innej parafji, ten właśnie zapytywał, czy trzeba ściąć stare drzewo, rosnące na samej drodze.

— Co za ludzie w Toot Hill! Pożal się Boże! Głowy do pozłoty. Wykrzykiwał stary Whybarne z trzeciego słupa wdół linji. — Nikt z nas ręki do tego nie przyłoży. Kołem prowadź, kołem!

Do dziś dnia został tajemnicą nagły zakręt na prostej linji telefonicznej, biegnącej przez pastwiska.

Tak samo nikt nie umiałby wytłumaczyć, czemu Skim Winsh, który wracał do swego obejścia koło Dutton Shaw w każdą sobotę wieczorem pijanusięki, jak to czynił poprzednio jego ojciec, czemu nie śpiewał, schodząc ze schodów tarasu, gdzie, wedle obaw Zosi, groziło mu skrócenie karku.

Zdawna uważał za swój obowiązek wobec przyszłych pokoleń manifestować prawa zwyczajowe do ścieżki przez ogród. Raz jednak pani Cloke przemówiła mu do rozumu. Podobnie pomówiła ze swą Mary, szwaczką we dworze i jej przyjaciółką, świeżo z Londynu importowaną pokojówką (1 m. 80 cm. wzrostu), która uczyła Mary stroić kapelusze i osądziła, że okolica jest przenucona.

Wskutek tego dziwnie było cicho. Gdy Zosia wychodziła na spacer, nie spotykała nikogo na swej drodze chyba, że wyraziła chęć widzenia ludzi. Wówczas zjawiali się, aby zapewnić, że dzieje im się jak najlepiej, że ich dzieci, kurczęta, dachy, wodociągi, synowie na kolei, czy przy policji są w zupełnym porządku.

— Czy nie nudzisz się moja miła? — Pytał Jerzy, który jak najlojalniej starał się nie przejmować w miarę postępu czasu.

— Taka jestem zajęta doprowadzaniem domu do porządku, że nie mam czasu myśleć o sobie. A ty?

— Nie. I tylko gdybym był spokojny o ciebie...

Nagłym skrzętem obróciła się na zielonej kanapce (Empire jednak, nie Heppelwhite), odkładając trzymany w ręku spis bielizny.

— Jak się wszystko zmieniło, prawda? — wyszeptwała.

— O tak! A jednak... gdyby wrócić do Baltimore...

— I nie spędzić razem pierwszego naszego lata tutaj? Ślicznie dziękuję, mój panie!

— Jesteśmy strasznie sami.

— Robię, co mogę, aby temu zaradzić. Proszę cię, nie nudź. Jestem uszczęśliwiona do szpiku kości. Nie wyobrażasz sobie czem dla kobiety jest dom. Myślisz może, że poznałeś co znaczy w nim mieszkać? Dopiero ledwo zaczęliśmy. Jak ci się podoba twój gabinet?

— Wolę zostać przy tobie.

Siadł na ziemi koło kanapki, ujmując dłoń żony; w tej chwili sewrski zegar wydzwonił godzinę.

— Siódma, rok temu byłbyś wracał z biura, od pracy.

Aż rzucił się z uciechy. — Od pracy? Czy wiesz, że byłem dzisiaj okrągłe dziesięć godzin w robocie.

— Gdzie jadłeś lunch? U Connantów?

— Nie, w Dutton Shaw, nad mokradłem. Sie działem na kłocu z nogami w trzęsawisku. Ale wynaleźliśmy wkońcu, gdzie bije źródło i w przyszłym roku spuścimy wodę do Gale Anstey.

— Jutro przyjdę zobaczyć. Mój drogi, proszę cię, otwórz drzwi, chcę spojrzeć na korytarz. Czy nie śliczny jest ten skręt schodów, jak słońce na niego pada?

Przez zmrużone oczy patrzyła na przeciwległą ścianę, gdzie malowidła ivoire i bladozielone tonały w potokach roztopionego złota.

— W progu sypialni Jane Elphick jest stopień. „Jego” pierwszy krok powinien być z tego stopnia. Kto wie, czy nie w podobnym celu był pomyślany. Jurku, czy zrobi ci to wielką różnicę, jeśli będzie córka?

Po raz setny odpowiedział, że chodzi mu o żonę, a nie o dziecko.

— Jesteś jedyny, który tak myśli — roześmiała się. — Nie bądź niemądry, ja wiem, jak wszyscy oczekują syna. Muszę godnie spełnić obowiązek, inaczej nie mogłabym spojrzeć w oczy nikomu.

— Nie rozumiem, co to kogo obchodzi?

— Zobaczysz. Szczęśliwie, że chłopcy należą do tradycji domu, tak zapewnia pani Cloke. Czy zrozumiesz kiedy tych ludzi? Co do mnie wątpię.

— I powiedzieć, że kupiliśmy Pardon dla fantazji, dla zabawy — wyjęczał z komiczną rozpaczą — I co? Zamurowani jesteśmy Bóg wie na jak długo.

— A może myślisz o sprzedaży?

Milczenie.

— Czy pamiętasz panią Chapin Nr. 2?

Była to czarna, zuchwała kobietka, urodzona wdowa, która po śmierci Zosi miała podstępnie zaślubić Jerzego dla pieniędzy i zrujnować go najbezczelniej w ciągu roku. Zosia wymyśliła tę postać w jakie dwa lata po ślubie, podczas długich godzin nieobecności wiecznie zajętego męża i wyobrażała, że jest unikatem między żonami, mając takie pomysły.

— Tu jej przecież nie sprowadzisz? — Pytał z trwogą.

— Nie, tylko chciałam powiedzieć, że kogoś, co kupiłby Pardon, nienawidziłabym sto razy więcej, niż panią Chapin Nr. 2. Pomyśl, ile tu samych siebie włożyliśmy!

— Co najmniej na dwa miliony dolarów. Mogłbym... — tu przerwał.

— Bestje! Napewno zbudowałiby przy bramie domek z czerwonej cegły, a na trawnikach założyliby partery. Musisz w testamencie zapowiedzieć, żeby „on” tego nie śmiał zrobić.

Roześmiał się, tuląc jej dłoń, ale nic nie odpowiedział. Dopiero wieczorem, przebierając się do obiadu, mruknął sam do siebie: Na diabła mi Ameryka skoro nie mogę prowadzić interesów. (c. d. n.)



Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

11



Imo to sam król zląkł się nagle możliwości kompromitacji — zapomniawszy snać o przepowiedniach astrologów, bardzo przez siebie cenionych, że odzyska świetność tronu ojców z pomocą młodej pasterki. Zdaje się, że w ostatniej chwili przechyliło szalę stanowisko dwóch wysłańców Orleanu do którego doszła już wieść o nadziemskiej odsieczy. Oblężeni mieszcz nie, jakby przeczuciem tknięci, domagali się tajemniczej „Dziewki”, więcej, niż posiłków, chleba i amunicji. Nietyle ciała ich potrzebowały ratunku, co skarlałe dusze i stargane nerwy.

Zapadł już zmrok wiosenny, gdy wprowadzano Joannę do olbrzymiej tronowej sali prastarego zamczyska. Jakby umyślnie dla jej olśnienia zgromadziło się trzystu rycerstwa i dwór cały pod chwiejnym, czerwonym blaskiem pięćdziesięciu pochodni. Tron pusty — na niczyjej głowie nie widać korony — lecz dziewczę kieruje się prosto ku niepozornemu, skromnie odzianemu młodzieńcowi, który stoi w tłumie — i schyliwszy się kornie, obejmuje go za nogi.

— Nie jam — ci królem... — broni się ten człowiek i wskazuje na jakiegoś wspaniałego rycerza: — oto król!

— W imię Boga! — odrzeczła Joanna, niezmieszana — miłościwy królewicu, wyście to nim, nie kto inny!

I już na całe zgromadzenie pada czar nieznanej jakiejś władzy: nie udało się ukryć królewskiej osoby przed obcą wędrownicą! A Karol VII nie miał zaiste ani w postawie, ani w rysach, ani w wyrazie nic z majestatu. Dość spojrzeć na portret, by odnieść wrażenie jakiejś smutnej pomyłki: grube, brzydkie rysy, owal jakiś niezgrabnie wyciągnięty, szerokie, obwisłe wargi, ciężkie powieki — z całej tej twarzy bije coś żałośnie zasnętego i ordynarnego zarazem. W dodatku był mały i chudy, nogi miał krzywe, kolana grube i odstające.

Takiemu to dziedzicowi tronu Walezjuszów wieściła Joanna, wobec wsłuchanego milczenia tłumu, stojąc teraz przed nim z wyciągniętymi rękoma, jaśniejąca od ognia zapale:

— Miłościwy Królewicu, jam jest Joanna Dziewka. Król Niebios przeemnie tobie objawia, jako bedziesz namazan i ukoronowan w Reims, namiestnikiem Króla Niebios, któren jest Francycy Panem!

I dalej prawiła o Orleanie i o mieczu karzącym nad angielską przemocą — aż poczęła prosić, by ją wysłuchał bez świadków. Rozmawiali przez chwilę półgłosem w odległym kącie wielkiej sali; dworzanie, śledząc ich zdaleka, zdumieni byli gwałtowną grą wzruszeń i rumieńców na bladym zwykle i apatycznym obliczu Karola. Wówczas to Joanna powiedziała mu coś takiego, czem odrazu zdobyła zaufanie i ustosunkowała go do siebie głęboko osobiście, wzbudzając podziw, a nawet pewien lęk przed istotą, zgadującą najszybsze myśli cudze. Owa słynna „tajemnica”, tyle rostrząsana przez historyków, jest prawie zupełnie wyjaśniona, a zawiera się w tych prostych słowach:

— Mówię tobie, w imieniu Boga, jakoś ty jest prawy Francycy dziedzic i syn króla!

Niewiadomo, czy wtedy to odrazu, czy w późniejszych częstych rozmowach, powtórzyła mu na-

wet dokładnie, jak się kiedyś modlił, dręczony zwątpieniem co do legalności swego pochodzenia, a więc i praw do korony. O modlitwie tej nie mówił król absolutnie nikomu — nic dziwnego więc, że poczytał musiał jej objawienie za znak jakiś nadprzyrodzony. Przykładał doń nawet tak wielką wagę, że uznał za potrzebne dopuścić do sekretu pod przysięgą wiecznego milczenia czterech najzaufniejszych doradców. Zbyt słabym był, aby dźwigać samotnie ciężar decyzji tak doniosłych — musiał ktoś wiedzieć, poza niemi dwójgiem, dlaczego prześladowany król¹⁾ zawierzył młodzieńczej prorokini.

Wiara owa objawiła się na razie w tem, że jej dano mieszkanie na zamku pod opieką żony jednego z rycerzy; wyznaczono pnia do posług, dopuszczano codzień do rozmowy z królem i do rycerskich ćwiczeń.

Nikt nigdy nie wyjaśnił, jakim sposobem Joanna, nieobeznana zupełnie z bronią, oczarowała teraz królewskiego krewniaka, księcia d'Alençon, mistrzowskimi rzutami lancy — tak, że w dowód uznania ofiarował jej bojowego rumaka. Odrazu też ustaliła się między niemi szczególna serdeczność: młody książę powierzył się bez wahania kierownictwu bożej posłanki, a ona zapewniała jego żonę, że mąż powróci z wojny zdrowy i cały.

Trudno sobie doprawdy wyobrazić współzycie dwóch indywidualności tak diametralnie przeciwnych, jak Karol VII i Joanna d'Arc. Degeneracja fizyczna i moralna, słabość, tchórzostwo, pesymizm — to on; zdrowie, siła, dążenie, odwaga, bujny rozkwit życia duchowego — to ona. Ich obcowanie mogło być tylko walką i to walką na ostre, pomimo wszelkie pozory. Joanna kochała w nim to jedynie, czem chciała go natchnąć — nazywając go swoją „oriflammą²⁾“, narzucała mu gwałtem czcigodny symbol, do którego nie dorósł.

A przecie udało się jej w znacznej mierze opłamać umysł „królewicza“. Wszyscy hagiografowie opisują charakterystyczną scenę, jak na jej prośbę podarował jej swe dziedzictwo³⁾, a ona, uroczyście ofiarowawszy je Bogu, oświadczyła potem, że Bóg oddaje Francję Karolowi VII w lenno wieczyste. Nie wiadomo, czy się to odbyło w takiej właśnie formie, zdaje się jednak, że średniowieczna idea „panowania Boga“ musiała być nieraz tematem „anielskopoufałych⁴⁾“ rozmów tych dwojga.

Joanna tym razem zwyciężyła: udało się jej przemóc w marnej duszyczce dziedzica korony lęk przed działaniem, głęboką niechęć do jednego jeszcze wysiłku na ratunek ginącego Orleanu. A jednak, by się ostatecznie na to odważyć, choiał król mieć za sobą autorytet nie tylko rady swojej, lecz i Kościoła.

Już w Chinon wypytywali dziewczynę różni duchowni i z wynikiem dodatnim; lecz Jakób Gélou, stary doradca królewski, zapytywany przez posła o zdanie, zalecał wielką ostrożność. Postanowiono

¹⁾ Nie był właściwie wtedy ni królem, ni królewiczem, dziwaczny ten stan określiłby może najlepiej śmiały mój neologizm „nietokról“.

²⁾ Sztandar, od najdawniejszych czasów noszony w bitwie przed królem.

³⁾ „Oto ci najuboższy rycerz onego królestwa!“

⁴⁾ A France, „Vie de Jeanne d'Arc“.

więc udać się po wyrok ostateczny do uniwersytetu w Poitiers. Joanna, zniecierpliwiona chwilami aż do łez tak znaczną zwłoką w wykonaniu upragnionego zadania, poddała się jednak dzielnie przykrej konieczności, wyruszając ze świtą, 28. III na południe w kierunku wprost przeciwnym najgorętszym swym pragnieniom.

W Poitiers uznano przedewszystkiem za konieczne przekonać się

o dziewiczości, z pewną ostentacją zaznaczanej zawsze przez Joannę. Badanie, dokonane przez najdostojniejsze damy dworu, z królową Sycylii na czele, dało wynik budujący. Fakt ten miał znaczenie zasadnicze, gdyż „demonologia” uczyła, że dziewictwo zabezpiecza zupełnie od wszelkich stosunków z szatanem. Tak więc zarzut czarnoksiężstwa odpadał już na wstępie.

(c. d. n.)



KAZANIE SKARGI

Z powodu obecnej wystawy Matejkowskiego dzieła w Zachęcie.

„Matejko ma dwadzieścia pięć lat, kiedy maluje Skargę!” woła w swej książce Stanisław Witkiewicz*).

Maluje „Skargę” w 1863 r.

Dwa te szczegóły są kluczem do zrozumienia obrazu.

Matejko wypowiedział się w nim cały, bez rezerwy, zwięźle, dobitnie, gwałtownie, namiętnie — i niesłychanie subiektywnie.

Młodość, pełna impetu, niehamowana balastem wiedzy, nierozpraszcana się na szczegóły — dała mu widzenie całości chwili z jej akcentami najważniejszymi. Artystyczne wczuwanie się w przeciwstawności psychiczne, zarysowujące się w Polsce już za czasów Zygmunta III, stworzyły atmosferę, tak niesłychanie sugestjonującą, jaka wypełnia i przesyca obraz: z jednej strony uczuciowy patos „widzącego” przyszłość i pragnącego wstrzymać ją całą potęgą ześrodkowanej woli — z drugiej skłócone, zmęczone i rozproszone dusze słuchających, tych w znacznej mierze „winnych” mającego nadejść, straszliwego jutra.

Psychicznym centrum obrazu jest Skarga o świetnym geście rąk, wzniesionych w proroczej ekstazie, odpychających wizję czasów, przeczuwanych. Cały w ruchu, w czarnej rozwianej sutannie, płonący wewnętrznym ogniem, jak krzew Jehowy. Zapatrzone szeroko rozwartymi oczami w rzeczy dalekie, przeźnawne, jak otchłań, — wznosi się ksiądz Skarga o twarzy wymęczonej, i subtelnej ponad tłumem dostojników, zgromadzonych w Katedrze Wawelskiej.

Czuł się za naród, gotowy do całopalnej ofiary, chce wstrząsnąć sumieniem swej epoki. Jest samotny. Jedynie, szlachetnie zafrasowany, Zamoyski, statyczny siedzący na krześle — celowo zapewne umieszczony po drugiej stronie Katedry, prawie nawprost Skargi, całą istotą swą z nim współdziewczy.

Postać kaznodziei jest węzłem obrazu, ogniskiem, którego nie rozszarpują szczegóły. Za Skargą

łoczy się tłum szlachty, wojska, dzieci, kobiet, figury niewykończone, o ledwie zaznaczonej w gestach różnorodności sposobu słuchania.

Od Skargi idą promienie i ożywiają kościół.

Obraz jest utrzymany w tonach ciemnych. Rozświetla je postać Zebrzydowskiego w żółtej delji, stanowiąca środek architektoniczny i kolorystyczny obrazu. Jest on jednym z trzech w centralnej grupie wielmożów. Ma bardzo zindywidualizowaną twarz.

Nieco zboku siedzi świetnie scharakteryzowany król. Dystygowany, o wytwornych van Dyck'owskich rękach, obcy i daleki dynasta, z pewnem zdumieniem wysłuchuje namiętnej elokwencji księdza. Zlekka uniesiona prawa brew i skrzydło nosa nadają twarzy tej wyraz uważnej i krytycznej obojętności. Na czerwonym dywanie leży jego niedbale rzucona rękawiczka.

Jak dwa łuki nawiasu — dwie postacie dostojników duchownych, kardynał w purpurze, zasiadający wygodnie i fioletowy biskup na klęczkach, o pięknie skupionej i zamodlonej twarzy.

W stallach Jagiellonka i rozpaczliwym gestem przesłaniająca twarz, Halszka Ostrogska.

Powietrze przeszywają słowa: „... Będziecie... bez ojczyzny i królestwa swego, wygnani wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie...”

— Tę przyszłość, antycypowaną przez Skargę, Matejko ujrzał na własne oczy. Znalazł się w niej. I oto powstał obraz, będący głosem bólu i protestu — dzieło uczucia i natchnienia.

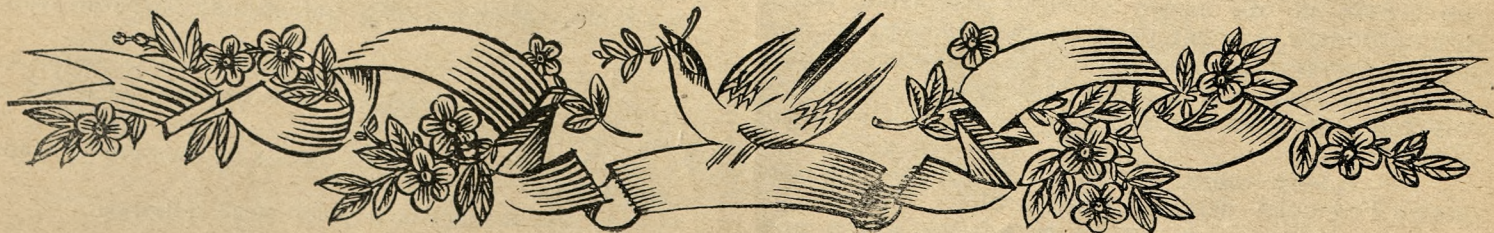
„Kazaniem Skargi” Matejko rozpoczął swój wielki trud artystyczny, całkowicie poświęcony Ojczyźnie. Zaczął „od ran”, jak mówił sam. Po „Skardze” dał „Rejtana”. Wizje minionej potęgi przyszły później.

Matejko w tworzenie wkładał całego siebie. Był patetyczny i wymowny, niekiedy rozwlekły. Im dalej — tem więcej gubił się w szczegółach, tracąc zwięźłość i dominantę kompozycji.

„Skarga” — ten utwór młodzieńczy — ze względu na idealne stopienie treści z formą, stoi wpośród dzieł Matejki może najwyżej.

N. Samotyłowa.

*) Stanisław Witkiewicz: Matejko. Wyd. I sze Naucz. szkół wyższych.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

NIEDZIELA W TOKIO.

Podróżniczka angielska, Lady Laughton, nad-
syła do pisma kobiecego „The Catholic Citizen” na-
stępujący ciekawy opis święta, spędzonego w naj-
uboższej dzielnicy starożytnego miasta japońskiego,
wśród miejscowej ludności, która dzięki gorliwej
pracy misjonarzy katolickich, przyjęła wiarę Chry-
stusową:

„Święta! Jedziemy zrana do kościoła — nie po-
wózem jednak, ani samochodem, jakbyśmy to uczynili
w odległej naszej Ojczyźnie, lecz zupełnie specyficz-
nym, miejscowym wehikułem, rodzajem lektyki, która
tu nosi nazwę „rikisha”.

W pierwszej chwili ogarnia mnie uczucie wy-
rażonej przykrości — czuję zupełnie instynktowną od-
razę do tego sposobu lokomocji, polegającego na
tym, że człowiek siedzi sobie na maleńkim wóze-
czku dwukołowym, wygodnie oparty na poduszkach,
podczas gdy inna istota ludzka ciągnie go z mniej-
szym, lub większym wysiłkiem. Jednakże uprzejme
i zachęcające uśmiechy obydwu tragarzy, przekony-
wujących nas łamaną angielszczyzną, że jesteśmy
leciutcy, jak piórka — zwyciężyły wkońcu moją nie-
chęć i dałam się wieść naprzód bez oporu.

Kościół, do którego jedziemy, jest tylko małą,
ubogą kapliczką, w której zbierają się sami tubylcy —
nawrócona na chrystjanizm najuboższa ludność mia-
sta Tokio. Właśnie dlatego chcę tam się pomodlić —
wśród tych prostych, naiwnych neofitów — nie zaś
w dużym kościele, gdzie się zbiera cała miejscowa
kolonja europejska. Tragarze nasi skręcają nieba-
wem z szerokiej, eleganckiej ulicy, w której mieszkamy,
w wąskie zaułki dzielnicy robotniczej. Jest
jeszcze bardzo wcześnie. Maleńkie sklepiki otwierają
się właśnie przed najpierwszymi klientami — dzień
pracy się rozpoczyna. Na pierwszy rzut oka uderza
mnie w tych ubogich sklepikach wprost nieprawdo-
podobna czystość. Jarzyny, poukładane na straga-
nach, są czyściutko pomyte i poobcierane, ryby nie
mają na sobie najmniejszej plamki, a ciastka i sło-
dycze pozamykane są w szklanych szafkach.

Najliczniejszą klientelę mają fryzjerzy, golący
młodych i starych japończyków wedle przepisane-
go rytuału. Widziałam młodą matkę z malutkim, może
najwyżej dwuletnim, synkiem, który z całą powagą
poddawał się ceremonii golenia!

Wszędzie zresztą w sklepach, na progu domów,
na ulicy — pełno jest dzieci japońskich. Nasi tra-
garze wykrzykują co chwila gardłowe „bpl opl!”, które
jest widocznie słowem magicznym, gdyż gromadki
rozbawionych dzieciaków pierzchają natychmiast na
wszystkie strony, jak stado spłoszonego ptactwa,
z pod samych prawie kół „rikishy”. Zajawszy bez-
pieczne posterunki na brzegach chodników, przyglą-
dają się nam z zaciekawieniem tak wyraźnym, iż za-
czyna mi się robić trochę nieswojo. Próbuje wytłu-
maczyć sobie, że owe zdumienie wywołane jest nie-
zwyczajnością zjawiska — rzadko bowiem zdarza się
europejczykowi zabłądzić w te zaułki — mimowoli
jednak przychodzi mi do głowy, że te dyskretnie pół,
uśmiechy dorosłych i szczere, a nie tajone chichoty
najmłodszych, nie są zbyt pochlebne dla naszej wy-
spiarskiej próżności!

Ależ otóż i kościółek maleńki, drewniany, utrzy-
many zupełnie w stylu miejscowym, z rozsuwanemi
drzwiami „une petite chapelle de tremblement de terre”
jak mówi skromnie Ojciec Misjonarz, wprowadzając

nas do środka. Podłoga wyłożona jest grubemi ma-
tami ze słomy. Zostawiamy, jak każę miejscowy zwy-
czaj, nasze obuwie w przedsionku, i nakładamy
uprzejmie nam podsunięte filcowe pantofle. Wierni,
zgromadzeni w kościele, składają się wyłącznie z sa-
mych tubylców — mąż mój i ja jesteśmy jedynymi
cudzoziemcami w tem gronie. Mężczyźni zajmują
prawą połowę nawy, kobiety, ubrane przeważnie
w białe, okrywające głowy zasłony — lewą. Wszy-
scy bez wyjątku klęczą na matach, boso, lub w poń-
czochach, nam jednak usłużny zakrystjan zdążył już
przygotować dwa krzesła nawprost ołtarza.

Przysłowie japońskie powiada: „Czas został
stworzony dla niewolników. „To też zgromadzenie
wiernych zdaje się okazywać iście wschodnią po-
gardę dla czasu. Nominalnie Msza św. ma się roz-
począć o godzinie dziewiątej. Tymczasem godzina
ta już dawno minęła, a biało ubrany zakonnik wciąż
jeszcze spowiada liczne rzesze penitentów, cisnące
się do prymitywnego konfesjonału — zwykłego pa-
rawanika, rozstawionego pod ścianą kapliczki. Wresz-
cie, powstając z miejsca, ksiądz oddala swoje owiecz-
ki szerokim gestem ręki, poczem obchodzi wokół
kapliczkę, nie śpiesząc się ustawia swych parafian
w rzędy bardziej regularne, podchodzi do nas, wita-
jąc nas uprzejmem „bonjour” i wyrażając nadzieję,
że widzi nas w dobrym zdrowiu — i dopiero po
dopełnieniu wszystkich tych czynności znika w
drzwiach zakrystji. Za chwilę wychodzi znów przed
ołtarz, ubrany w ornat a Msza się rozpoczyna.

Słowa Chrystusa Pana „Dopuszczcie dziecieczkom
przyść do Mnie” pojmowane są w tym ubogim ko-
ściółku zupełnie dosłownie. Przychodzą one całemi
gromadami, lub pojedynczo — najmniejsze, te, któ-
re jeszcze chodzić nie mogą, zawieszone są na ple-
cach matki, lub starszej siostry, trochę większe pe-
łzają po podłodze, usłanej matami... Nikt na nie zre-
szta nie zwraca uwagi, nikt się nie odrywa od mo-
dlitwy. Widocznie zjawisko to jest uważane za zupeł-
nie naturalne. Skoro matki przychodzą do kościoła,
dzieci również towarzyszyć im muszą — na niańki
przecie nie stać te ubogie kobieciny! Widziałam mat-
ki, klęczące przed ołtarzem podczas Komunii, oto-
czone malutkimi dziećmi, z najmłodszym niemó-
włędem u piersi...

Mnie europejkę, nieprzyzwyczajoną do takich
obrazów, fascynował i pociągał widok tych maleństw.
Mimowoli chciało mi się pogłaskać małe krótko
ostrzyżone główki z dużą kępką włosów na cie-
mieniu. — Drobne istotki przypominają do złudze-
nia lalki z czarnemi, błyszczącemi oczyma, któremi
spoglądają ciekawie wokoło, podczas gdy tłusta rącz-
ka podnosi do ust biszkopt, a okruszynki z niego
spadają za kołnierz biednej matki, znoszącej to z aniel-
skim spokojem, szczególnie mi się podobała pewna
mniej więcej czteroletnia osoba, którą ochrzciłam w du-
chu mianem „feministki.”

Ubrana jest w kimono płomienistego koloru
zahaftowanym w duże, różnobarwne kwiaty, na ma-
lutkich nóżkach ma czerwone, aksamitne buciki,
a czarna jej, gęsta czupryna krótko jest przystrzy-
żona nad czołem. Spaceruje ona bezustanku od
lewej strony nawy ku prawej, gdzie klęczą mężczyźni,
jak gdyby chciała okazać swą pogardę dla wszelkich
różnic i uprzedzeń w traktowaniu płci obojga!

Nie wiem, czy wysłuchałam z dostatecznym
skupieniem świętej Ofiary — zbyt bowiem pochłaniało
moją uwagę to, co się działo naokół. Wiem tylko,

że nie modliłam się nigdzie równie gorąco, jak w tej ubogiej kapliczce japońskiej, odbudowanej ze składków najbiedniejszych po straszliwym trzęsieniu ziemi — w tej kapliczce, gdzie widziałam wokół siebie tyle prostej, rzewnej, dziecięcej niemal wiary i ufności, że mimo woli przypominały mi się wciąż słowa Zbawiciela: „Jeśli się nie staniecie, jako owe dziatki, nie wnieście do Królestwa Niebieskiego”. Z. B.

POPIS GIMNASTYCZNY

Dnia 6 b. m. odbył się popis gimnastyczny zespołu im. Grażyny w sali ogródka in. Raua. Na program złożyły się ćwiczenia szkół żeńskich pod kierunkiem p. Felicji Tryburskiej i ćwiczenia lekkoatletyczne zastępu druhen pod kierunkiem p. Weyrancka.

Cwiczenia odbyły się z nadzwyczajną sprawnością. Zastępy gimnastyczne zrobiły wrażenie wojska dobrze wyćwiczonego. Popis zakończył się płasami pod kierunkiem p. Tryburskiej, były one wykonane z poczuciem rytmu i z dużym wdziękiem. Liczni goście owacyjnie przyjmowali popisujące się zastępy. Obecni byli przedstawiciele towarzystw Sportowych, Dyrektor Instytutu wychowania fizycznego dr. Świątepek Zawadzki, dr. Drabczyk, miłośniczka sportów kobiecych dr. Zabawka i inni.



TEATR MAŁY:

„Tak jest, jak wam się wydaje”, parabola w 3 akt. *Luigi Pirandello*.

Prawda jest zmienna, niema prawdy bezwzględnej. W każdym razie — nie istnieje ona dla tłumu, jako jednostki, bowiem każdy członek tego zbiorowego ciała pojmuje ją inaczej. To też Prawda ma tyle twarzy, ile par oczu na nią patrzy. A dlaczego? bo chcemy ją poznać z faktów, zamiast szukać jej we własnej duszy. Ta jedna, jedynie niezawodna droga leży odłogiem. Unikamy jej, bo jest uciążliwa, bo wymaga wysiłku duchowego, bo nie jest prostym zaspokojeniem ciekawości. Gdy tymczasem fakty oświetlone w odpowiedni sposób...

O tem, że „fakt” i „prawda” to rzeczy odmienne, a często nawet zaprzeczające sobie, mówi parabola *Luigi Pirandello*.

Tym razem jesteśmy w małym włoskim miasteczku. Któż nie zna monotonii życia w takiej zapadłej dziurze? To też musimy mieć odrobinę wyrozumiałej litości dla bezlitosnej ciekawości, jaka nagle ogarnęła jej mieszkańców. Proszę tylko pomyśleć: sekretarzem urzędu powiatowego zostaje pan Ponza, człowiek niezamożny, na skromnym stanowisku. I ten człowiek z niewiadomych powodów prowadzi dwa domy, dwa gospodarstwa: jedno dla siebie i żony, drugie dla teściowej. Byłoby to zrozumiałe — w grę wchodzi przecież teściowa! — Gdyby pan Ponza unikał pani Froła... ale on jest u niej codziennym gościem, córka natomiast nigdy nie odwiedza matki. Można by to wytłumaczyć antypatią tych pań, gdyby nie ta okoliczność, że pani Froła codziennie chodzi do domu, w którym mieszka córka, i rozmawia z nią

z podwórze. Nigdy jeszcze nie była w skromnym mieszkanku na poddaszu. Stąd wywód jasny: Ponza jest potworem, okrutnikiem, który więzi żonę, rozłącza matkę z córką.

Ale to jedynie przypuszczenie, a miasteczko szuka Prawdy. Szuka jej u źródła, nie wierzy plotkom. Pani radczyni — mąż jej jest zwierchnikiem pana Ponzy — udaje się sprowadzić do swego salonu mieszkającą w tym samym domu panią Froła. Po nieważ w salonie znajduje się przypadkiem parę pań, ciekawość ich zmienia się w wyrafinowane okrucieństwo, w wiwisekcję nad staruszką. Pani Froła broni zięcia przed zarzutem okrucieństwa nie może się dość nachwalić jego dobroci, subtelności. Córki nie widuje bo mąż kocha ją miłością wyłączną i zazdrosną, ona zaś nie chce psuć szczęścia młodej pary. Wystarcza im dwom rozmowa na odległość, liściki, świadomość, że się kochają, że ofiarę ponoszą dla niego... Ciekawość tłumu zostaje zaspokojona — ale tylko na chwilę. Po odejściu staruszki zjawia się pan Ponza, i mówi, że pani Froła jest obłąkana po śmierci ukochanej córki, że drugą jego żonę bierze za pierwszą, ale straciłaby może tę wiarę, gdyby ją zobaczyła, więc...

Więc pani Froła jest obłąkana! To jasne jak słońce! Nie, bo po wyjściu zięcia pani Froła wślizguje się do salonu — gdzie bynajmniej jej już nie pragną — i oznajmia, że wie, co pan Ponza opowiadał. Ale rzecz ma się inaczej: to on jest obłąkany ona zaś tylko udaje obłąd! On wierzy, że jest żonaty po raz drugi z inną kobietą, a przecież Julia i Lina to jedno. Przez litość dla niego pani Froła udaje warjatę... W miasteczku zawrzało. Trzeba natychmiast wyjaśnić sprawę. Jest tylko jeden ku temu środek konfrontacja.

Z wyrafinowanym okrucieństwem plan ten zostaje urzeczywistniony. Ale jakiż rezultat? Pan Ponza na widok teściowej wpada w szal, a potem wyznaje, że udawał warjata, bo tylko w ten sposób może podtrzymać w p. Froła wiarę, że córka jej żyje. Konfrontacja nie daje więc wyników. Tajemnica zostaje niewyjaśniona, gdyż w czasie trzęsienia ziemi w rodzinnym miasteczku pana Ponzy zginęły dokumenty i wyginęli świadkowie....

Ale żyje Ona — tajemnicza żona pana sekretarza Ponza. Na rozkaz naczelnika powiatu staje przed sądem tłumu i oświadcza. Jestem Liną dla matki, Julią dla męża, a dla siebie — niczem.... Odchodzi, unosząc ze sobą tajemnicę... A wtedy rezoner sztuki zwraca się do publiczności. „Czyście państwo zadowoleni? On od początku twierdził, że trzeba uwierzyć w to, w co się chce wierzyć, bowiem na świecie. „Tak jest, jak się wam wydaje...”

W paradoks ten tchnął *Pirandello* prawdziwe życie. Pani Froła i sekretarz Ponza to postacie naprawdę dramatyczne, które wnoszą ze sobą na scenę tajemnicę osobistego życia, obcą, niezrozumiałą dla innych. Jakże szczęśliwi byli w swoim nieszczęściu, dopóki pozwolono im żyć w zamkniętym kręgu osobistych przeżyć, dopóki brutalna ręka „bliźnich” nie zapragnęła uchylić rąbka tajemnicy. Bliźni ci — bezmyślnie okrutni, przepełnieni chorobliwą ciekawością, brutalnie rozrywają świeże jeszcze rany dwojga nieszczęśliwych, stojących poza ich życiem.

Panna Broniszówna i pan Samborski stworzyli postacie świetne zarówno w masce, jak w grze. Pani Froła — osiwiśla, w półprzymrogu, żyjąca tylko fikcją... Pan sekretarz Ponza — połączenie brutalnej siły i niezaradności iście dziecięcej, skamieniały w bólu i w walce z fikcją cudzą, czy własną?... Resztą — ów tłum małomiasteczkowy — nazbyt realistyczny i jaskrawy — co zdaje mi się nie mogło leżeć w intencjach autora. Tym razem pan Nowakowski okazał się lepszym aktorem, niż reżyserem, bowiem własną, trudną rolę rezonera *Laudisi* zagrał inteligentnie i dyskretnie.

Z. P.



Mody i roboty



276.



277



278.







294.

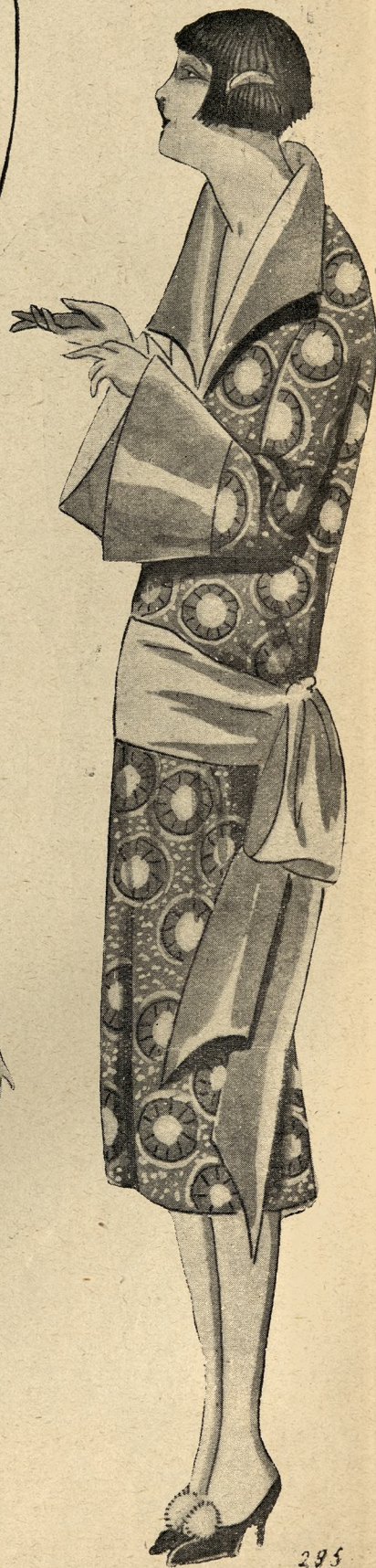


291.



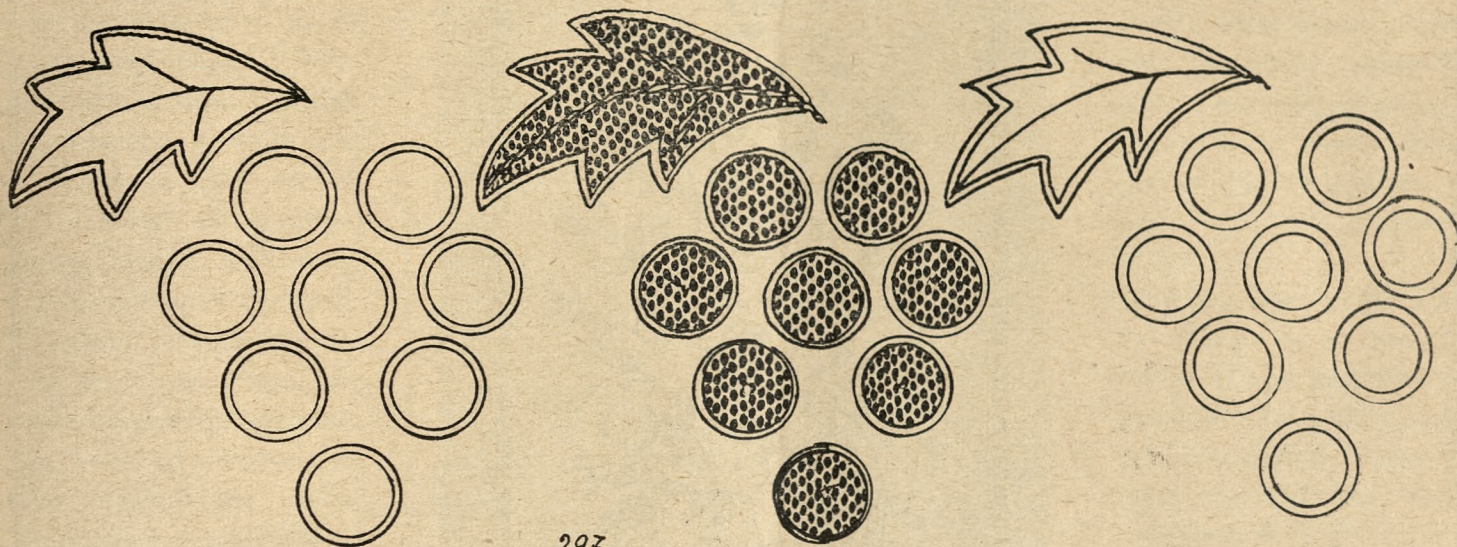
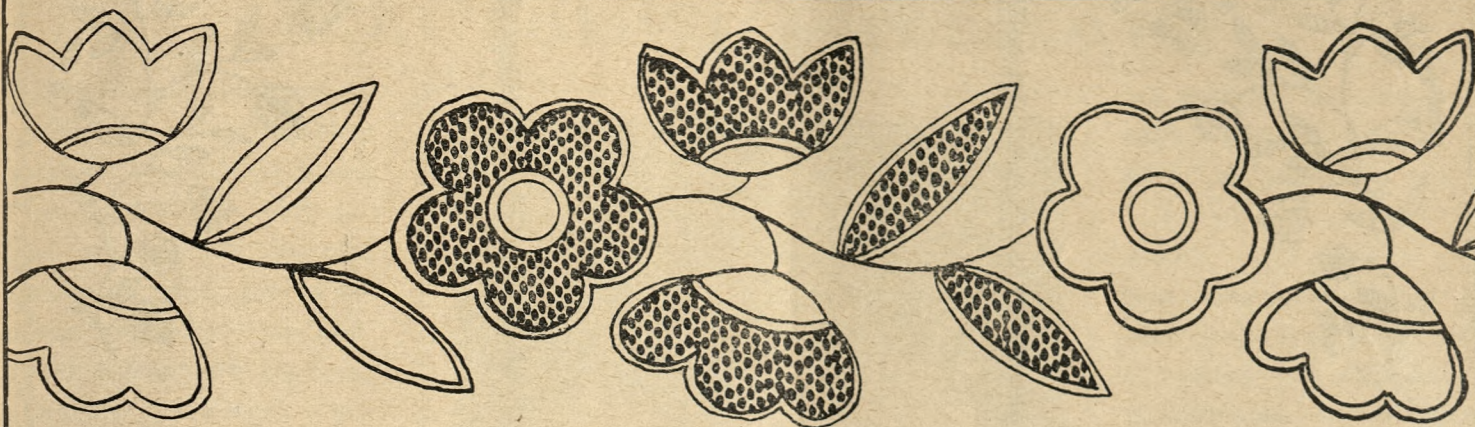
292.

293.

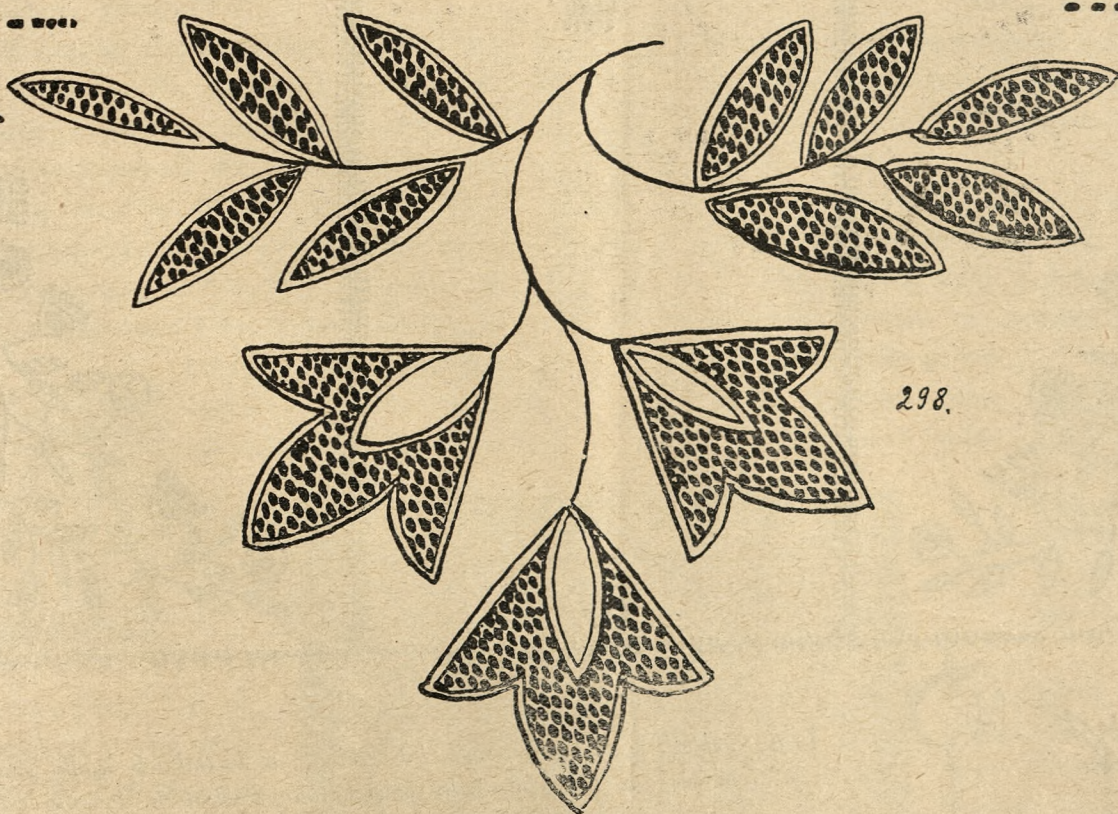


295.

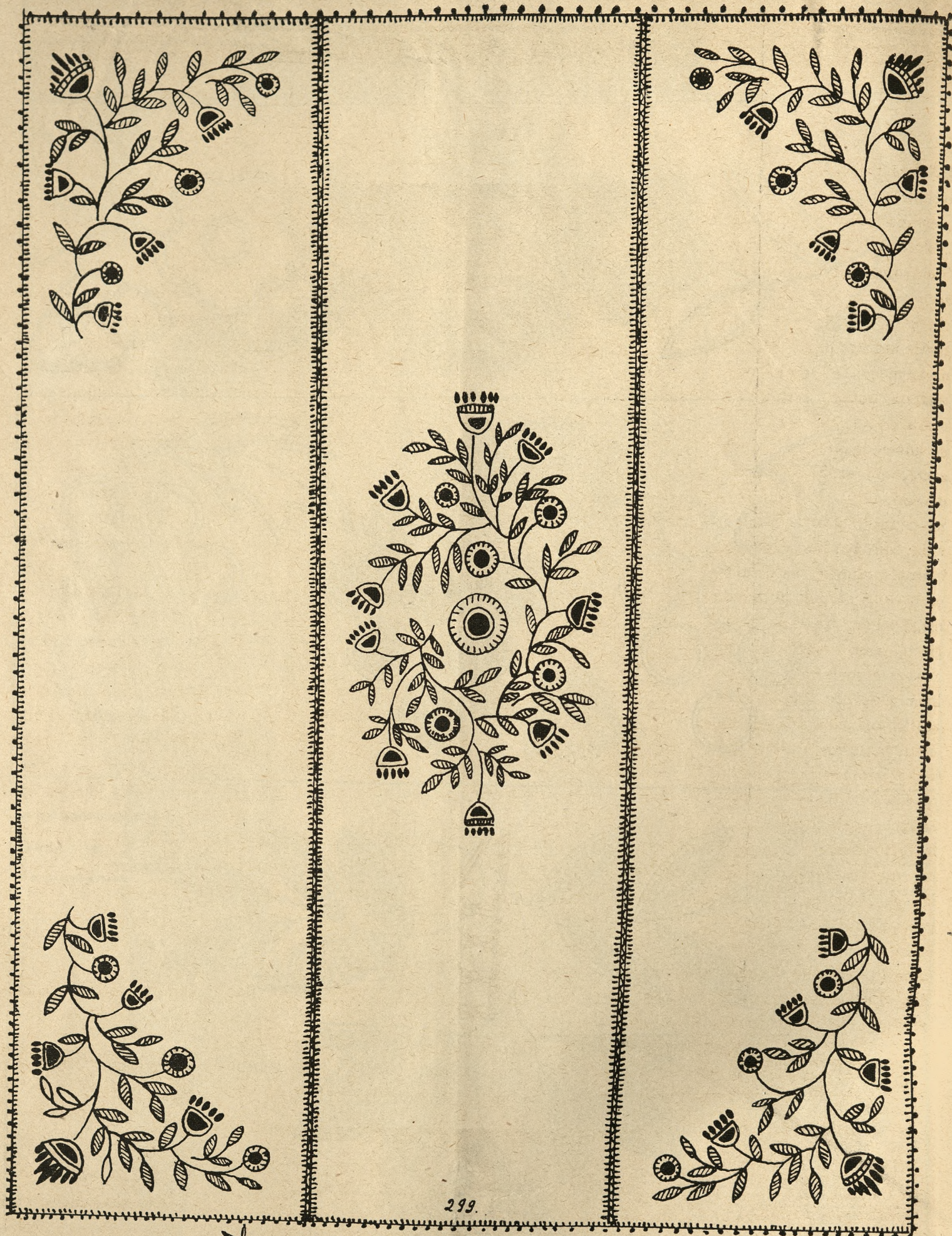
296.



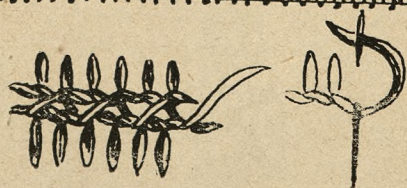
297.



298.



299.



Listki niebieskie, złoto-brązowe, lub zielone, w kwiatach środki szafirowe, obwiedzione białym, lub złoto-żółte obwiedzione niebieskim, kwiatki naprzemian ze środkami brązowe, lub szafirowe.

SZAL ROBOTĄ SZYDEŁKOWĄ

Naszal, przedstawiony na rycinie Nr. 1, potrzeba wełny „zephyru” podwójnej białej i złoto żółtej po 300 gr. Szal robi się na długość, zaczynając od zrobienia 300 oczek łańcuszka — na podstawie którego robi się ścieg następujący: 1 słupek 2 powietrzne oczka, 1 słupek 2 oczka powietrzne i t. d. aż do końca łańcuszka. Przy zakręcaniu zrobić 5 oczek powietrznych, z tych trzy na słupek, a dwa wolne, nitkę założyć na szydełko i zrobić słupek, wkluwając go w drugi słupek poprzedniego rzędu. Następnie ciągle to samo, uważając, aby zawsze słupek był nad słupkiem, przez co uformuje się kratka, naśladująca siatkę. Zaczyna się szal białą włóczką, a zrobiwszy dwanaście rzędów, robi się 15 złoto żółtych, następnie znów 40 białych. Jeżeli szal za wązki można zrobić więcej rzędów białych. Na zakończenie obrabia się go wokoło 1 rzędem ścisłych oczek, od góry zaś dwoma rzędami. Po trzech stronach szala wiąże się frendzlę 40 cm. długą z żółtej włóczki. Ścieg ten (rys 2) łatwy i prędko jest bardzo ażurowy podajemy tu trzy inne ściegi: Nr. 3 ażurowy, Nr. 4 francuski i Nr. 5 gwiazdkowy, z

których każdy da się zastosować do tej roboty, zachowując tylko ten sam rozmiar.



1.



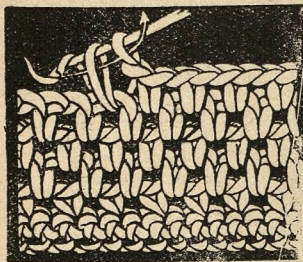
2.

muje się pierwszą gwiazdkę o 4 oczkach. Nawinąć nitkę, przeciągnąć przez wszystkie 4 ocz., nawinąć i zamknąć. Następne gwiazdki mają po 5 ocz.

Po zrobieniu całego rzędu robić rząd półsłupków i znów gwiazdki.

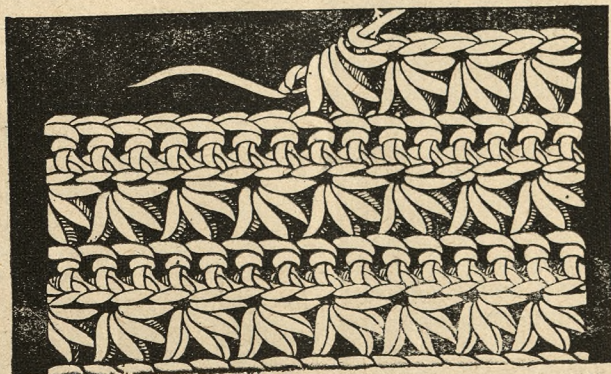
Aby ścieg miał ozdobne prążki — trzeba gwiazdki wbijać w pojedyncze oczka tylne,

a p. sł. w pojedyncze przednie. Jeżeli chcemy robić samymi gwiazdkami, wów-



3.

Ścieg ażurowy. 1 p. sł., 1 p. ocz., opuścić 1 ocz. z roboty i przyrobić 1 p. sł., 1 p. ocz. itd. W drugim rzędzie tak samo, uważając, aby wbi-



5.



4.

jać szydełko pod pow. ocz., czyli w ażurek, nad półsłupkiem zaś, robić 1 p. ocz.

Ścieg francuski. Na rzędzie p. sł. robić 2: ocz. pow., nawinąć nitkę, wbić do pierwszego p. sł. pod 2 nitki z roboty; przeciągnąć nie przerabiając, do następnego wbić bez nawinięcia, nawinąć, przeciągnąć, nawinąć, przerobić wszystkie oczka, nawinąć, zamknąć i znowu w to samo oczko wbić z nawiniętą nitką, do następnego bez nawiniętej itd.

Ścieg gwiazdkowy. Na rzędzie p. sł. zrobić z brzegu 2 ocz. pow. Bez nawinięcia nitki wbić w pierwsze, przeciągnąć, oczko zostawić na szydełku. Wbijać następnie do 2 ocz. roboty i również oczko nie przerobione zostawiać na szydełku, wskutek czego otrzy-

czas należy przy końcu każdego rzędu urwać nitkę i zacząć świeżą nitką od początku, ścieg gwiazdkowy bowiem nie da się robić na lewo.

LIST O MODZIE

Riviera Francuska w marcu 1926 r.

W wędrówkach swoich po słonecznej promenadzie, wzdłuż skąpanych w świetle fasad wspaniałych Palace —Hoteli, których tarasy, strojne w olbrzymie szeroko rozwarne, barwne parasole, roją się od świetnego tłumu gości, na poobiednich herbatach, podawanych wśród najcudniejszej pod słońcem panoramy, mającej za tło błękit morza i nieprawdopodobne wprost refleksy zachodzącego słońca, które igra z lazurową falą, patrzę i obserwuję gotując skwapliwie w pamięci różne szczegóły dotyczące mody kobiecej, by się podzielić memi spostrzeżeniami z czytelniczkami „Bluszczu”. Bo co tu wiele mówić! Kobiety interesują się modą i lubią wiedzieć jak ubierają się „modne damy”, których cała, zazwyczaj bardzo skromna inteligencja, poświęcona jest zabiegom dookoła własnych toalet i dbaniu o wygląd odpowiadający wymaganiom mody. A więc na początek wskazówki ogólne, wskazówki zasadnicze i nieodzowne, któremi są: zupełne skreślenie krótkiego rękawa z listy, na której notujemy to, co się nosi w świetle dziennym, przyznawanie pierwszeństwa kołnierzykom, podchodzącym



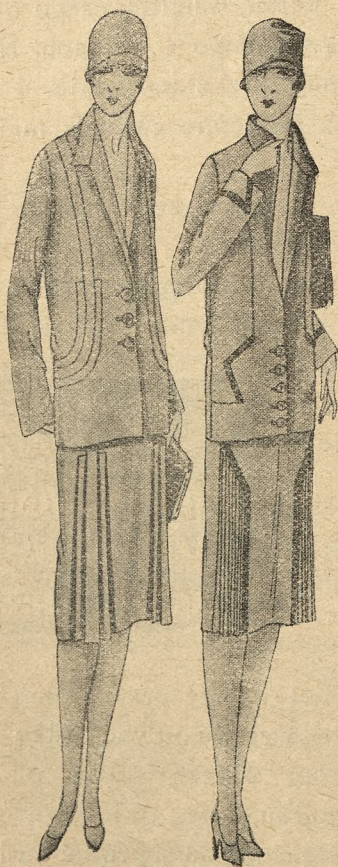
pod szyję, definitywne wyrzeczenie się dekolatów „bez początku i końca”, fantazję których ujęto w ramy ściśle określone, nakazując im nawet przy toaletach wieczorowych szczyt dyskrekcji, przy sukniach dziennych i popołudniowych zezwalając jedynie na niewielkie śpiczaste wycięcie z przodu. Jeżeli do damy do tego przepisową łączność pomiędzy sposobem obucia nóżki, a nakryciem głowy, które w barwie, a nawet i materiale, użytym na wykonanie kapelusza i pantofelka, łączyć się winny, nosząc pewną cechę identyczności, możemy śmiało podsumować rubrykę „nakazów”, dając naszej wyobraźni, gustowi

i zrozumieniu potrzeb, tak sylwetki, jak i warunków w jakich żyjemy, wolne pole do działania. Moda stała się tolerancyjną. Wybór pozostawia nam wielki i urozmaicony. Miejsca swe jednakożo zaszczytne zachowały wszelkie fasony obszerne, pełne motylej zwiewności, jak i zwyczajne proste, skłaniające się ku wspomnieniom ostatnich lat. Modele sukien wieczorowych przedstawiają najwięcej urozmaichenia i fantastyczności, są nieujęte i jak mówią o nich bogowie mody „sans règle”. Sliczne w pomyśle i nadzwyczaj efektowne w świetle sali restauracyjnej, czy balowej, są suknie których kilka widziałam w dniach ostatnich. Fourreau z koronki, lub lamy o metalicznych błyskach, dół lekko rozszerzony i wykończony

riuszą z illuzji, lub piór jednokolorowych w żywym tonie, na to narzucony rodzaj spódniczki z illuzji. Spódniczka taka układana jest z kilku warstw do cieniu, lub też odmiennych w kolorze, co daje bardzo ciekawe efekty. Przy połączeniu spódniczki z całością wpięty pęk fantastycznych storczyków w barwach odpowiednich do całości. Jeżeli dół sukni nie jest wykończony riuszą, illuzja spływa w fałdach, lub zębach trochę poza brzeg koronki, czy lamy, co dodaje całości lekkości i wdzięku.

Przytaczam tutaj szczegółowy opis tej ładnej kombinacji z myślą o znoszonych sukniach balowych, które, jak często mówimy „opatrzyły się” i w gronie ciągłe tych samych spektatorów nie są już atrakcyjne. Ten rodzaj odświeżenia sukni, nada jej bezwzględnie cechę świeżości i zupełnie nowy wyraz.

Tam gdzie króluje dzień, gdzie uhać się trzeba z myślą o ruchu, ruchu na słońcu i powietrzu, gdzie zachować wypada, jak największą dozę swobody, łącz-





nie z cechą wykintu i elegancji, wskazana jest ciągle i wytrwale prostota, prostota i jeszcze raz prostota.

Długość spódniczek i palt, daleka od przesadnych wymiarów, a obliczona tak, aby, dając swobodę ruchów na spacerze, lub w forsowniejszym marszu, nie odsłaniała groteskowo nóg w pozycji siedzącej. co zazwyczaj ma miejsce przy zbyt usilnem kopjowaniu modeli, podanych w żurnalach mód, a czego nie widuje się wśród kobiet prawdziwie eleganczyki i dobrze ubranych. Palt lekko dołem rozszerzone, rzadko kiedy kloszowe, zlewają się w barwie z suknią. Podbite są zazwyczaj materją, z której suknia jest wykonana, lub crêpe de chine'em w identycznym kolorze, tak że właściwie trudno nazwać paltem i suknią to, co jest, jak słusznie mówią francuzi: „ensemble”. Bo wogóle teraz bardziej, niż kiedykolwiek moda jest „aux ensembles” i to w bar-

dzo szerokiem tego słowa ujęciu

Nie wystarcza, chcąc być wzorem mody, zadowolnić się suknią i okryciem jednego koloru, trzeba im podporządkować wszystko. Kapelusz, obuwie, pończoszki, futra, kwiaty, szale, rękawiczki. Na tej drodze jedynie dochodzi się do doskonałości

Moda, która dotąd faworyzowała tak chętnie różnobarwność, ze znaną sobie bezwzględnością i zdecydowaniem skreśliła ją z listy, powołując w szeregi swych wiernych służebnic barwę jednolitą. Innych nie spotykamy dzisiaj wcale. Oczy nasze odpoczywają po chorobliwej pstrokaczynie, pieszcząc wzrok ślicznymi delikatnymi cieniami o pastelowem podłożu. Na pierwszym miejscu stoi niezmiennie drzewo różane i kwitnie wszelkimi odcieniami swej poetycznej krasy. Dalej widzimy dużo wiosennych i letnich kreacji w kolorach: rezedowym, pervenche, lila, cyklamen i ciągle jeszcze, bodaj że najwięcej, palonego, od piaskowego, aż do gorącego ciemnego złota.

W lecie nosić będziemy specjalną sukienkę, wygodną, mało kosztowną, łatwą do zrobienia, a prostotą swą pociągającą. Składa się ona z dwóch części. Spódnicę ka drobniutko plisowaną, lub poprostu układaną w głębsze fałdy, na to narzucony „casaquin” o długości mniej więcej ręki, zupełnie skromny, zaledwie skosem o odmiennej barwie, lub cieniu, przy śpiczastem wycięciu wykończony lub przybrany plisą z crêpe de chine'u i takimż wyłożonym kołnierzykiem. Casaquin o typie sportowym bywa spięty paskiem,

lub związany, rękaw ma zawsze jednego typu [t. j. długi lekko zmarszczony i wszyty w wąski mankiet, spięty tak jak mankiety u męskich koszul. Zależnie od materiału i przeznaczenia sukienki te są zupełnie skromne, lub też zdobne aplikacjami, czy haftem bogato złotem przetykanym, który przybiera zazwyczaj przód, ramiona i mankiety, spódniczka zostaje zawsze gładka w kolorze i najczęściej fałdowana. Materiały najbardziej używane przy wykonywaniu modeli pokazowych, są: wszelkie trykoty, wełniane, jedwabne cieńsze i grubsze, tkaniny wełniane, cieniutkie, miękkie tak podatnie się układające, a wreszcie najczęściej materje różnego typu i gatunku.

Sądzę, że my przystosujemy łatwo fason ten do surowych jedwabi i płócien, z których, byle zręcznie wykonany, równie ładnie prezentować się będzie.

Kapelusze wiosenne pozostają kształtu, z którym żyliśmy się tak bardzo w ostatnich sezonach. Wykonywane są przedewszystkiem z grubo przegowanego rypsu i wstążki gros — grain. Kolory widoczne są skazane na zdecydowane wygnanie. Kapelusiki widuje się przeważnie bois de rose do cienia od najciemniejszego do jasnego, rezedowe, pervenche, piaskowe, koloru orzecha laskowego, no i dużo białych. Upalne i słoneczne lato ma podobno faworyzować, szczególnie na plażach, gdzie słońce jest zwykle ostre i palące, kapelusze o dużych cieniujących rondach, które, zanikając stopniowo do tyłu, tworzyć będą rodzaj rozłożystej i udki. Całość ocieniona niewielkimi, bardzo barwnymi parasoleczkami, które są już dzisiaj jedynym łącznikiem jednobarwnej teraźniejszości z przejaśnionym dniem wczorajszym, jest śliczna, wdzięczna w linii, młoda,

wygodna, no i co najważniejsze, wcale nie pretensjonalna. Należy się jeszcze wzmianka nowej kreacji z dziedziny sweatów, której miano „Pul — Over” brzmi z angielska. Pul — Over przedstawia sobą sweater wciągany przez głowę, z wycięciem niezmiennie i tylko podłużnym, z rękawami, lub bez. Używany jest zarówno przez płeć piękną, jak i silną, przeważnie do sportów, letnich i zimowych, a zależnie od siły ciepła, jakiej od niego oczekują, wykonany bywa z grubej, lekkiej wełny, wełny z jedwabiem, rzadziej z samego jedwabiu.

Młodzi ludzie noszą Pul — Ower'y do ubrań sportowych zamiast kamizelek, wreszcie



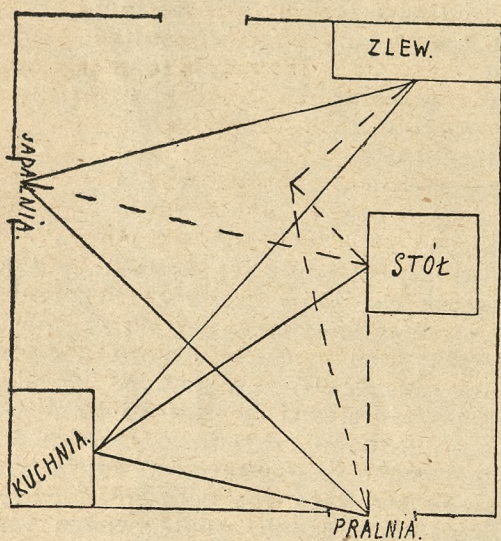
do jasnych spodni, które w tym sezonie najmodniejsze są koloru kawowego, do tenisa, wiosłowania, spacerów w góry, na plaży i t. d. Panie, używając go w tych samych wypadkach, dopełniają stroju krótką spódniczką układaną w głębokie fałdy, która do wszelkich sportów i marszu jest nadzwyczaj wygodna pozostawiając kompletną swobodę ruchów. Pul Over'y wykonywane są zwykle z nitek o dobieranych cieniach barwach, w połączeniu z popielatym lub piaskowym, w damskich widzimy więcej fantazji, aczkolwiek jaskrawości i tu jak i wszędzie unikamy starannie. Wypada wreszcie powiadomić Panie o narodzinach kostiumu o zupełnie nowym typie. Jest on przeważnie złożony z fantazyjnej spódniczki, w ma-

leńką kratkę lub paski, z jakiegoś przeplatane materiału, zwykle dwubarwną np. kawową z brązowym, popielatą ze stalowym etc. i zakieciaka krótkiego, wykonanego z gładkiego ciemnego materiału, koloru przeważającego w tkaninie z jakiej wykonano spódniczkę. Żakiet taki bywa krótki, z kieszonkami, spięty paseczkiem, lub w kształcie luźnego saczka, zależnie od figury, nosi się do niego skromny kapelusik, sportowy pantofelek na niskim obcasie, zapięty na rzemyk i sprzączkę i najwyżej śmiały w barwie niewielki szal z miękkiej materji, związany na szyi w węzeł, z końcami ukrytymi pod żakiem, częściej jednak poprostu białą bluzką z kołnierzykiem wkładanym.

W. D.

REFORMA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

(ciąg dalszy)



Rys. II.

Linje pełne i kreskowane oznaczają odległości częściej lub rzadziej przemierzane przez gospodynię.

utowane i wykonane, w przeciwieństwie do umeblowania pokoi, gdzie można zawsze choć w części naprawić popełnione błędy i przegrupować sprzęty. Nowoczesna kuchnia posiada natomiast tak dużo wmurowanych, lub przy-mocowanych przy-rządów i mebli, że zmiana istniejącego układu staje się co-rzaz trudniejsza.

Nauka taylorizmu domowego ujęła zasady racjonalnej instalacji kuchni w następujące cztery punkty:

- Umieścić każdy przedmiot tam, gdzie będzie najczęściej używany;
- Podzielić kuchnię w miarę możliwości na dwie części: jedną, w której się przyrządza po-

Po wznie-sieniu murów, wykoń-czeniu ścian, podłóg i su-fitów, oraz po założeniu instalacji, poprzednio omówionych, przychodzi kolej na u-stawienie mebli. Poru-szymy bar-dziej szcze-gółowo urzą-dzenie kuch-ni, które musi być odrazu sys-tematycz-nie zaprojek-

trawy, drugą, w której się zmywa na-czynia i do-prowadza kuchnię do porządku;

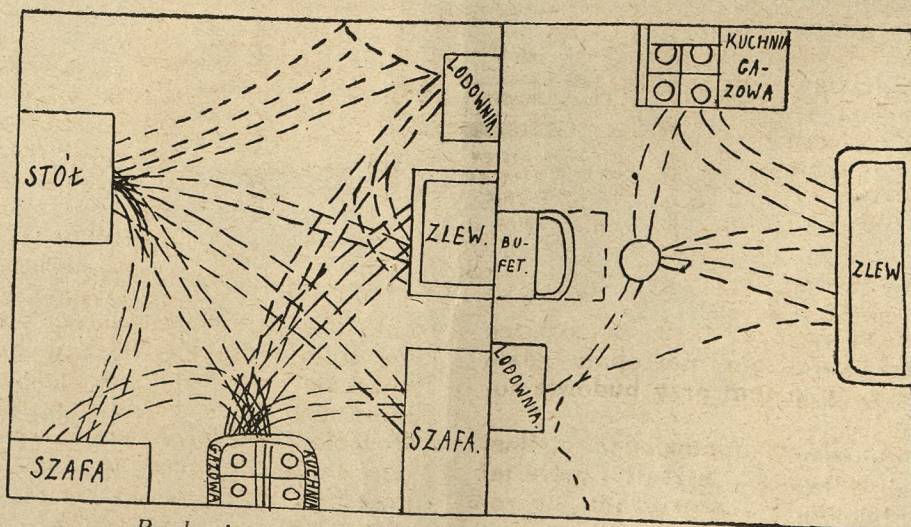
c) Skupić utensylja w jednym miej-scu — naj-lepiej w stole kredens o-wym, nie roz-praszać ich po całej kuch-ni (o ile nie służą do specjalnego użytku w in-nem miejscu, gdyż wów-czas należy decentralizować); d) Rozmieścić przedmioty tak, by praca postępowała w linii prostej, bez zbytecznego cofania się.

Zamieszczamy poniżej szereg wykresów zawar-

tych w „Mon chez Moi” z listopada r. ub.; pismo to o-pierało się ze swej strony głównie na badaniach p. Frederick.

Rys. II wykazuje szkodliwość zbyt wielkiej odległości pomiędzy przedmiotami i nieodpo-wiedniego umiesz-czenia drzwi, prze-bicie tych ostatnich, oraz zbliżenie zlewu i stołu (rys III) pozwoliło gospody-ni uniknąć zbytecznej bieganiny.

Rys. IV przedstawia-



Przed zmianą.

Rys. IV.

Po zmianie.

Kreski przedstawiają kroki gospodyni.

wia wyniki studiów empirycznych, wykonanych w czasie pracy w kuchni starego i nowego typu; celowe rozmieszczenie i wyeliminowanie zbędnych mebli (dwóch szaf ściennych i stołu) zredukowało do minimum ilość potrzebnych kroków.

Rys. V daje plan kuchni według p. Frederick (uzupełniony drugim zlewem); rys. VI projekt Instytutu Organizacji Gospodarczej. Zwracamy uwagę na kilka niezmiernie praktycznych pomysłów np. otwór, przez który spada brudna bielizna do pralni, lampa nad zlewem, szafa do nakrycia stołowego, otwierająca się na dwie strony w kierunku sali jadalnej i kuchni.

Nowością jest też dla nas duży zlew z porcelany, emalii, lub marmuru, służący do zmywania naczyń; po obu jego stronach znajdują się płaszczyzny do ustawiania statków, t. zw. „égouttoirs”.

Ten typ zlewów jest ogólnie przyjęty we Francji; w Anglii i Ameryce ulega częściowo zastąpieniu przez maszyny do zmywania.

Zlewy należy umieścić na odpowiedniej wysokości, aby uniknąć tak szkodliwego dla kobiety schylania się; nieraz opłaca się zaopatrzyć je w odrębny aparat do nagrzewania wody, kiedy indziej przyłącza się go do ogólnego systemu nagrzewania. — Kuchenka we wszystkich miejscowościach, posiadających gazownię, winna być gazowa (wprowadzeniu elektrycznej kuchni stoi na przeszkodzie jej cena). Nie zapominajmy o zegarze do automatycznego przerywania gazu i o termometrze, niezbędnym dla prowadzenia gospodarstwa w sposób naukowy.

W higieniczny sposób trzeba rozstrzygnąć kwestję śmieci i odpadków. Możemy się pochwalić, że pod tym względem wyprzedziliśmy Francję. Zdumiony cudzoziemiec widzi tam wczesnym rankiem, przed domem lub w sieni, rzędy kubeków, zniesione poprzedniego wieczoru przez pana domu, niekiedy przed północą na bal, w wieczorowym stroju (windy nawet w Paryżu w starszych dzielnicach należą do rzadkości i nieraz trzeba znośić kubek z paru pięter krętych schodów).

Nas, którzy mamy chociaż przykryte skrzynie w podwórzu, no i służbę, która wykonywa za nas cięższe funkcje, dziwi ten prymitywny i niebezpieczny dla zdrowia system.

Ale czy nasze urządzenie jest o wiele lepsze? Amerykanie uzupełnili kanalizację domów przez rury, do których wrzuca się śmiecie, odprowadzane następnie zdala od mieszkania. Pamiętajmy o tem przy budowie nowych domów!

Sprzęty kuchenne winny odpowiadać ogólnej zasadzie umeblowania: wysokość, kształt i materiał zarazem przyjemne dla oka i dostosowane do rodzaju pracy.

Prawdziwa estetyka pokrywa się zawsze z lo-

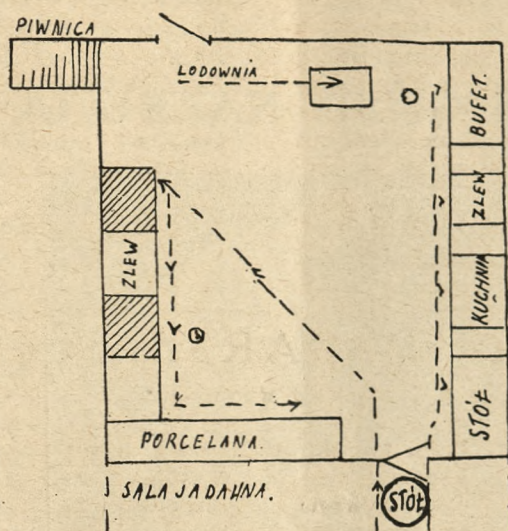
giką i higieną i zbyteczne upiększenia nie mają nic wspólnego z prawdziwą sztuką wnętrza. Wychoząc z tego założenia powinno się zaniechać prób urządzania kuchni w stylu ludowym (nie mówię już o tak częstym urządzeniu kuchni skupionej na chybił trafił tanimi meblami, poczem w krótkim czasie drzewo zaczyna się paczyć, stół „kuleje”, krzesła wyłamują się). Najodpowiedniejsze są, podobnie jak w biurach, sprzęty nowoczesne o kształtach prostych. Mogą one być lakierowane, emaljowane, o blatach pokrytych szkłem, lub porcelaną; pozwoli to myć często i bez wielkiego zachodu pracy, a zarazem nada kuchni, temu warsztatowi, przy którym pani, lub kucharka spędzają większość dnia, wygląd miły i pogodny. Meble nowoczesne, kupione w specjalnym sklepie, odznaczają się różnymi udogodnieniami: nóżki dają się nieraz podwyższać, lub zniżać, celem dostosowania ich do wzrostu gospodyni; szuflady otwierają się z łatwością (o męko urywających się rączek, spaczonych szuflad, zardzewiałych kluczy)!

Racjonalna budowa jest zwłaszcza nieodzowna, gdy chodzi o kredens. Jakże statki i garnki umieścić w kredensie, jakie zawiesić ponad kominem, stołem, o ile takowy znajduje się w kuchni, lub pozostawić w stołowym pokoju?

Od trafnej odpowiedzi zależy w dużej mierze wygoda i szybkość wykonania pracy. Amerykańskie bufety niemal zupełnie rozstrzygają za nas ten problemat. Zawierają one zazwyczaj wysuwalny stół, rodzaj kieszonek do przepisów kuchennych i innych notatek, podstawkę do książki kucharskiej, tabliczkę do notowania zapasów, sita do mąki, półeczkę na słoiki, przymocowaną do dolnych drzwi bufetu, szuflady różnej wielkości.

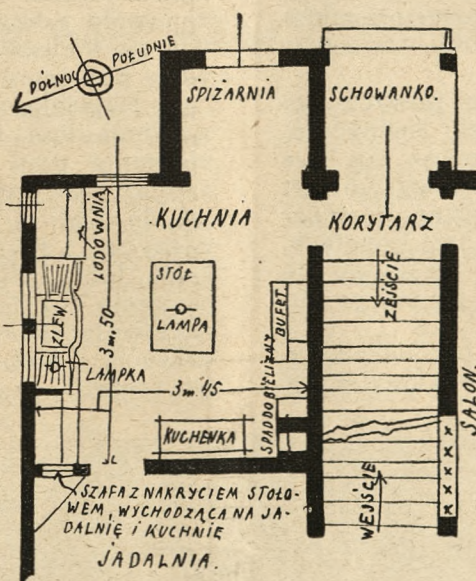
Aby wyzyskać przestrzeń, należy oddać pierwszeństwo szafom wmurowanym. Z tych samych względów nadaje się nieraz stół do podnoszenia, lub opuszczania na wzór stolików, w wagonach kolejowych.

Stosunkowo najlepiej przedstawia się w nowszych domach pokój kąpielowy, w każdym bądź razie brak higieny wynika w tym wypadku z braku chęci, lub pieniędzy, nie zaś dostatecznego uświadomienia. To też przypomnimy tylko, że ściany kąpielowego pokoju najlepiej pokryć kaflami, lub linoleum obok białej wanny umieścić piecyk gazowy, do ściany przybić, lub na brzegu wanny zawiesić miseczki do przyborów toaletowych, haczyk do termometru, przed wanną położyć korkowy dywanik. Porcelanową umywalnię zaopatrzymy w bieżącą wodę, ciepłą i zimną, ponad nią umieścimy szklane półeczki. Wreszcie do niezbędnych ingrediencji kąpielowego pokoju zalicza się duże lustro ponad umywalnią, oświetlone zgóry, lub od obu stron. Ni-



Rys. V.

Strzałka przedstawia kierunek kroków. Dwie grupy przedmiotów. Po lewej stronie zmywanie naczyń, po prawej—przygotowywanie potraw.



Rys. VI.

klowane krany, pręty do ręczników i t. p. wyglądają bardzo efektownie, ale ze względu na znaczną robotę przy czyszczeniu lepiej zastąpić je przez porcelanę i szkło, zarówno w kuchni, jak w kąpielowym.

Nawiasem mówiąc, da się to samo zauważyć odnośnie do klamek metalowych, stereotypowo

wszędzie stosowanych. Nieraz i odpowiedniejsza i ładniejsza bywa klamka drewniana (u drzwi gabinetu, salonu, nie zaś tam, gdzie uczęszcza wiele osób, jako mniej higieniczna), porcelanova lub szklana (w kuchni, kąpielowym pralni, u lekarza). (c. d. n.)

Felicja Sachówna

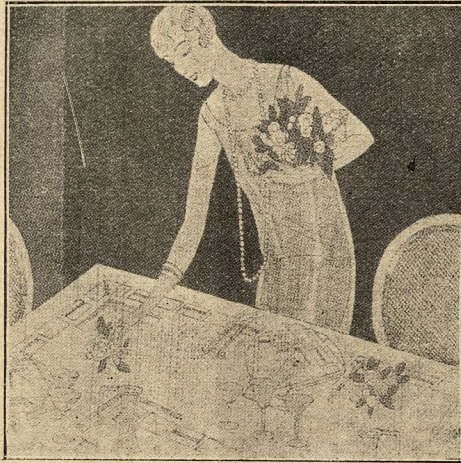
RÓŻNE SPOSOBY NAKRYCIA STOŁU

Z okazji zbliżających się świąt, a z nimi nieuniknionych, na większą lub mniejszą skalę zakrojonych przyjęć, poruszamy kwestję nakrycia stołu, który przybierzemy ciętymi kwiatami, zielenią, koszami owoców, a w braku tychże żardinierami, napełnionymi lekkimi, jakby koronkowymi paprociami.

Kto z tej wojennej rozsyпки uratował srebrne nakrycia, kosztowną staroświecką porcelanę, szkła i zastawy, nieraz jeszcze króla Gwoździka pamiętające, ten wydobędzie te skarby z ukrycia, aby okazać gościom serdeczną gościnność, a sobie przypomnieć lepsze czasy. Bielizna stołowa zapewne wskutek wysokiej ceny i braku jej, ta piękna adamaszkowa bielizna, z pietyzmem przechowywana z matki na córkę, zupełnie prawie zanikła, tylko ci, którzy posiadają jej zapasy z dawnych czasów, nie stosują się do nowej mody i nakrywają nią stoły — zwłaszcza na większe przyjęcia, gdzie śnieżna białłość starannie bez załamek wyprasowanego obrusa, z pięknie haftowanymi monogramami prababek, serwety tego samego co obrus deseni, świadczą o poważnej przeszłości rodowej.

Dzisiejsze mody pełne coraz to nowych pomysłów, tak jakby szukały, a nie mogły znaleźć solidnego punktu oparcia, stwarzają coraz to inne kombinacje deseni, kolorów, haftów. Wszystko jest nowe i po większej części ekscentryczne, dostosowane do ducha czasu. Tym duchem jest pośpiech, wszystko robi się na gwałt, a więc i nakrywa się na gwałt, aby prędzej stół uwolnić i do innego użytkować go celu.

Jeden z ładniejszych pomysłów, jaki widziałam z tej dziedziny, to podłużny stół o zaokrąglonych

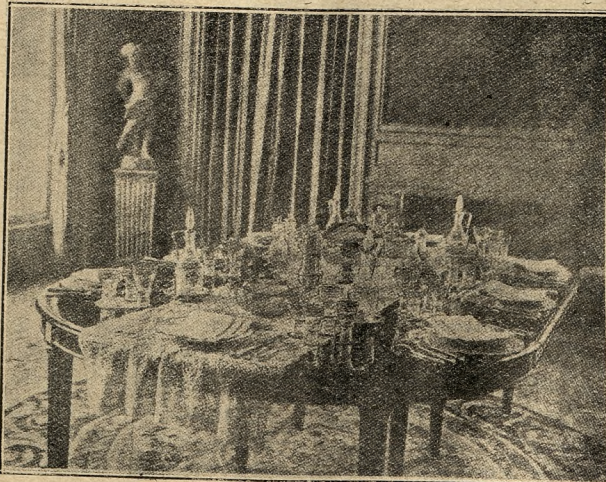


wane do laufra, na nich stawia się talerze, a na talerzach serwety mniejsze kształtem, niż dawniejsze, obrębione szeroką mereżką i ozdobnie wyznaczone. Nie składa się obecnie serwet wysoko „w infule” jak dawniej nazywano, ale płasko jakby pugilares, w którego otwierane przegródki wkłada się kromkę chleba i mały bukietek, o ile pora jest kwiatowa. Porcelana dawniej otowiażywała jak najcieńsza, brzeżek okalany złotym, lub granatowym ze złotym szlaczkiem, w środku monogram, później ustąpiła miejsca wzorzystym kwiatowym deseniom o żywych barwach, przypominających staroświeckie modele.

Obecnie mamy niespodziewany zwrot do fajansu. Mniej kosztowny, tem samem dla ogółu przystępniejszy, daje pole do nowych pomysłów form i rysunków, używany jest przy największych przyjęciach, demokratyzując je poniekąd. Szkło też przechodzi zmiany. Niedawno jeszcze tak bardzo modne szkło grawerowane ustąpiło miejsca kryształom rżniętym w formie tulipana, lub dzwonka. Jakich i wiele stawia się kieliszków przed talerzem zależy od tego wiele podajemy gatunków wina.

Największą ozdobą nakrycia są, jak już wspominałam, kwiaty, których ułożeniem zajmuje się sama pani domu w ostatniej chwili, aby nie zwiędły. Nie używa ich się już w tak wielkiej ilości, jak dawniej, a stosuje spoób ułożenia do rodzaju nakrycia. I tak: bielizna adamaszkowa wymaga bukietu, lub żardinierki w środku stołu, na haftowanej serwecie rozkłada się kwiaty po stole tak, aby nie zakrywały pięknych wzorów. Najświeższego rodzaju nakrycie z laufrem w środku stołu pozwala na wszelkie fantazje, upoważnia najbardziej niespodziewane

ekscentryczne nawet pomysły, byle robiły ładne wrażenie. Można np., pomijając wszelkie zasady symetrii, rzucić dwa nieównne bukiety po obu końcach laufra, lub poukładać małe wiązanki przy każdym nakryciu, jedną przy serwecie, drugą przy kieliszku i tak mijanego, co utworzy rodzaj zębów na stole, można także usypać z pojedynczych kwiatków fiołków np. różne desenie. Sztucznych kwiatów używa się tylko jako zastłonki do lampek elektrycznych, z których również czerpie się różne efekty.



Światła powinno być jak najwięcej, przy małym bowiem oświetleniu najpiękniejsze zastawy i kwiaty nie robią wrażenia. Śliczna do poobiednich przyjęć jest serweta z samodiału (plótno swojej roboty) haftowana kolorowo, mereżkowana ręcznie, lub rozszywana kwadratami z siatki poszywanej weneckiej grubej gipiury i mereżek. Serwetki pod filiżanki, odpowiednie do serwety, do ust najlepiej cienkie, białe, złożone na róg i ułożone na rozstawionych gromadkami po stole talerzykach. To są sposoby nakrycia najświeższej doby, jeżeli jednak chcemy utrzymać tradycję i przyjąć gości naszych święconem, nakryjemy po staremu, to jest najcieńszym białym obrusem z tych, jakie posiadamy, zwłaszcza że rozciągany stół z blatami nie nadaje się do przezroczystych laufrów, a znów stół „moderne”, na ścisłą ilość osób obliczony, nie zgadza się z polską gościnnością i zwyczajami świątecznymi.

Na stole zwyczajnym dębowym, nakrytym „po dawnemu”, przybranym zielenią barwinku, bukszpanu i borówek z bukietem kotków wierzbowych w środku, rozstawiamy półmiski, lub płytkie talerze z ładnie pokrajanym mięsiwem, cieniutko, a w jak najszerze plastry. Brzegi półmisków przybieramy piklami, sałatką majonezową, sałatką zieloną i galaretkami w różnych kolorach. W środek każdego podania wkładamy gałązkę bukszpanu, lub borówki, co nadaje specjalnie świąteczny pozór. Jajka, ugotowane na twardo, obrane ze skorupki, ułożyć trzeba na kryształowej salaterce, kilka pokrajać na części, ułożyć w gwiazdę na szklanym talerzu, przy nich parę widelczyków, postawić przed nakryciem pani domu, która w imię starego zwyczaju dzieli się jajkiem z każdym nowym gościem, zapraszając go do stołu. Między półmiskami rozstawia się różne ostre przy-

prawy, jak chrzan z octem, chrzan ze śmietaną, ćwikła, musztarda, sosy zimne, musztardowy, majonezowy, lub tatarski, chleb, masło ładnie ułożone, może być w kształcie baranka z takim prawdziwym artyzmem dawniej urabianego, babki pokrajane w plastry, złożone następnie w całość, nakryte wierzchem lukrowanym ozdobionym zieloną gałązką. Na deser podaje się mazurki, torty, placki słodkie, jak pakowaniec, placek z serem etc. pomarańcze krajane w plastry, ułożone na kryształowych salaterkach, pocukrowane i oblane kieliszkiem maraskina. Kawę czarną i herbatę, które wraz z rosółem i barszczem w filiżankach, podanymi na początku, stanowią jedyne gorące dania w takim przyjęciu. W niektórych domach podają bigos, ale ta potrawa choć smaczna, przy wykwinie święconem, nie jest na miejscu.

Wszelkie napoje, jak piwa, wina, likier powinny być przygotowane na boku, skąd bierze się je do nalewania w miarę potrzeby. Wódki na tackach, otoczone kieliszkami, mogą stać na stole.

Szykując święcone dla starszych, dobra mamusia nie zapomina również o młodszych pociechach. Stoliczek nakrywa serwetką, ustawia z małych foremek upieczonych babki, od każdego mazurka, tortu i placka ujmuje potrochu na intencję dzieciarni, zamiast indyka piecze nadzianego gołąbka — jako kielbasy używa parówek, na szynkę gotuje zgrabnie wykrojone udko od prosiaka, jajka mogą być gołębie, a w braku tych cukrowe, serek wyciśnięty w małym trójkątnym woreczku, wszystko przybrane bukszpanem, jakąż to będzie uciecha przy częstowaniu swoich małych gości, a patrząc na tę radość, czyż mamusia nie będzie sownie wynagrodzona za swoją pracę i kłopot.

J. S

ZUŻYTKOWANIE RESZTEK ŚWIECONEGO

Hasłem naczelnym każdego porządnie prowadzonego gospodarstwa domowego powinno być: „nie dać się niczemu zmarnować”.

W każdym, chociażby najzamożniejszym domu, kuchnia świąteczna, przyjęciowa różni się od codziennej. Te wystawne występy pozostawiają całe masy resztek, które, umiejętnie zużyte, mogą urozmaicić i nadać pewien charakter wykwinu obiadom i śniadaniom całego szeregu dni po nich następujących.

Tradycja narodowa każe szczególnie obfite zapasy jadła gromadzić na święta Wielkiejnocy.

W pierwszy dzień domownicy i goście z bajecznym apetytem (między nami mówiąc, przerażającym cudzoziemców) pochłaniają te smakołyki, drugiego dnia jedzą mniej chętnie, zaczyna się krytyka: „prosię stanowczo przepieczone, nadzienie w zeszłym roku było znacznie lepsze; mazurki jakieś suche i bez smaku; masło w torcie kawowym musiało być nie dosyć świeże i t. d. i t. d.” Trzeciego dnia jedzą tylko szynkę i rosół, lub barszcz, wzdychając, do powrotu normalnych obiadów. A tu jeszcze całe półmiski „święconego” prawie nietknięte. W dni następne umiejętna kucharka i pomysłowa gospodyni powinny zużytkować wszystkie te resztki w taki sposób, aby się nic a nic z nich nie zmarnowało. Nic nie mówię o szynce, która w chłodnym, suchym miejscu może stać do dziesięciu dni i jako potra-

wa, nie przejadając się łatwo, do ostatniego kawałka mile będzie widziana.

Słoninę od szynki, poza kraszeniem nią klupek i kaszy, można użyć na paszteciki drożdżowe, zwane szpekuchami, których przepis w zeszłym roku w „Bluszczu” podałam. Twardsze kawałki od golonki, lub brzydsze, przy kości, można zapiec z makaronem, lub zrobić z nich muszelki z ryżem, czy warmiszelem do zupy. Kość od szynki da wyborną gróchowkę, lub zupę fasolową, kapuśniaczek na niej też będzie bardzo dobry.

Wszelkie białe mięsa: schab, cielęcina, indyk dają się wybornie zapiec pod beszamelem.

Ciemne mięsa: baranina, sztuftada, rozbef, sarnina, włożone na chwilę do rumianego, cebulowego, lub kaparowego sosu odzyskują natychmiast smak świeżo przyrządzonej pieczeni. Kto ma tych resztek za dużo, aby móc je od razu zużytkować, niech wszystko, co się nie da zużyć w ciągu paru dni najbliższych, zastosuje do dwóch bigosów.

Jeden w rumianym sosie z ogórkami, korniszonami, cytryną, lub jabłkami, obłożony krutonami z francuskiego ciasta, lub zwykłymi, przysmażonemi grzankami.

Drugi, bigos myśliwski, robiony z kwaszonej kapusty, tem smaczniejszy im więcej gatunków mięsa w jego skład wejdzie, dobrze wyduszony, parę tygodni i więcej na lodzie stać może i po kilka-

krotnem przygrzewaniu coraz lepszego smaku na biera. Oprócz tych zwykłych, zasadniczych, że tak powiem zastosowań resztek, mając czas i ochotę po temu, można z resztek drobiu i białych mięs robić wyborne krokietki, muszelki zapiekane, naleśniki nadziewane, grzanki z nerczkami, z dróbkami, z wątróbką przysmażoną z cebulką i cały szereg innych, które w krótkim artykule wyliczyć trudno.

W ogólności zbyt mało uwagi zwraca się u nas na drobne przystawki, tak cenione przez smakoszków i dające pewien charakter wykwintu najskromniejszej kuchni. Francuzi, mistrze w sztuce kuchennej, mają całą specjalną literaturę, poświęconą temu przedmiotowi, niezależnie od tego każda francuzka ma swoje sekrety, swoje sposoby przyprawiania tych „entre-mets”, które przeważnie są tylko umiejętnym zużytkowaniem resztek.

Mazurki domowe są tak trwałe, że tygodniami całymi można je używać na desery i do podwieczorków, już gorzej jest z tortami, gdyż dzisiaj są modne torty przekładane kremami maślanymi i masami żółtkowymi, dawniejszych, suchych, przekładanych konfiturami nikt jeść nie chce, to też nie należy ich robić za dużo, żeby w ciągu najdalej trzech dni już były zjedzone.

Ciasta wielkanocne drożdżowe mają w sobie tyle jaj i masła, że na wsi nieraz Zielonych Świąt w stanie jadalnym jeszcze doczekały. Uważając jednak, że zawsze wyrób świeży jest zdrowszy od konserwowanego, nie radzę ich tak długo trzymać. Jeśli dobra babka nieco szczerstwieje, a chcemy jej smak przywrócić, należy zrobić lekki syrop ze szklanki cukru na szklankę wody, wcisnąć doń sok z cytryny, otartą na tarce skórkę z tejże cytryny, duży kieliszek rumu, araku, lub jakiego aromatycznego likieru: abricotiny, kirscha, maraskina, syropem tym kilka razy kolejno

skropić babkę, aby dobrze wszędzie przesiąkła i wstać ją na minut dziesięć do ciepłego pieca, lub pod blachę, w smaku przewyższy świeże pieczywo. Poza-tem z babek i placków są wyborne budynie i grzanki, maczane w mleku z jajami, przysmażane na maśle i pokryte konfiturami.

Urozmaicając dodatki do budyniów i sosy do nich, używając do grzanek coraz to innych konfitur, możemy przez parę tygodni dawać smaczne, a niekosztowne leguminy. Jeszcze „least not last”, jaja twarde, których, na wsi szczególnie farbują całymi kopami, a których, wobec masy innych smakołyków, prawie nikt nie je. Jest u nas zakorzeniony przesąd, że jajko już w dwa dni po ugotowaniu jest szkodliwe. Jeśli jaja stoją w miejscu suchym i chłodnym, mogą stać doskonale sześć do siedmiu dni i być do ostatniego użyte w rozmaitych przyprawach, głównie jako dodatki do rozmaitych zup zielonych, (szczawiowej, z pokrzywki, ze szpinaku) jarzynek wiosennych, lub podawane z młodą, zieloną sałatą.

Pozostaje mi tylko wspomnieć o smaku z wędlin, którego mamy dużo po ugotowaniu szynki i kielbas, Pospolicie używają go na barszcz buraczany, co do pewnego stopnia jest omyłkowe, gdyż saletra zmienia smak barszczu, robi go mętnym i białawym. Barszcz należy ugotować na smaku z jarzyn i grzybków, a mieszać go z rosołem wędlinianym dopiero w chwili podania. Kapuśniak, zupa szczawiowa, grochówka doskonale smakuja na rosole z wędlin, należy go tylko trzymać na lodzie, aby nie skwaśniał. Wszelkie sosy, formujące się na brytwannach przy pieczeniu mięs, należy zlać razem, zwykle zastygłą one na galarete, można je przechować czas jakiś, są one po zdjęciu tłuszczu, który można użyć na okrasę klusek, lub kasz dla służby, doskonałym dodatkiem do sosów i zaprawą do zup jarzynowych.

Pani Elżbieta



PRZEPISY GOSPODARSKIE

UBIERANIE MIĘSA NA ŚWIECONE.

Szynkę po ugotowaniu, czy upieczeniu, gdy nawpół przestygnie, należy przygotować do ubrania. Skórę ostrożnie nożem podejmuje się u brzegów, poczem dalej podnosi ostrożnie (powinna sama odstawać łatwo), zwijając w trąbkę, aż do samej golonki, tu się ją umocowuje z obu stron drewnianymi patyczkami, a słoninę posypuje się cynamonem utłuczonym z cukrem i szpikuje w ładnych, równych odstępach goździkami. Korzenie te nadają aromatu mięsu i słoninie, kto jednak ich nie lubi, może pozostawić słoninę czystą. Gdy szynka zupełnie zastygnie, układa się ją na serwecie, lub arkuszu papieru, położonym na półmisku, a to aby się nie ślizgała przy krajaniu.

Kość w golonce owija się kilka razy ładnie ufryzowanym białym papierem. Głowiznę faszerowaną, stanowiącą samo przez się dużą ozdobę stołu, polewa się w ładne desenie szmalcem białym, lub za-

kolorowanym, głowizna powinna być dobrze zastudzona, aby szmalec zastygł natychmiast i nie rozlewał się po niej, robi się to przez specjalny przyrząd, lub tutkę papierową, operacja ta wymaga pewnej wprawy i zręczności. Gotując głowiznę, należy włożyć w ryj kawał drzewa, który po zastygnięciu się usuwa i zastępuje czerwonym jajkiem (kraszanką), uszy głowizny przy gotowaniu też się obwiązuje naokoło grubych patyków, aby nie opadły, usuwa się te patyki dopiero po zupełnym zastudzeniu. Na wsi taką głowiznę lokuje się w środku altanki, obsianej rzeżuchą, w mieście można obłożyć wkoło liśćmi jarmużu. Prosię dostaje także samo jajko do ryjka i także same podłoże z jarmużu, jako jedynej nie wędnącej prędko zieleniny.

Pieczeń cielęca, wołowa, rozbef i indyk dostają tylko ładne papierowe papiloty na kości, o ile takowe mają, należy je układać na dużych arkuszach papieru, lub serwetach, położonych na półmiskach,

aby się nie ślizgały przy krajaniu. Jeśli te mięsiwa podajemy nie całe, lecz nakrajane w plastry, należy się wpięrcw zaopatrzyć w dużą ilość galaretki jasnej i ciemnej, zrobionej z sosów od mięs, sklarowanych i zastudzonych z dodatkiem żelatyny.

Indyka i cielęcinę ubieramy ładnymi krutonami z takiej galarety i posypujemy po wierzchu taką siekaną galaretką. Szynek otaczamy siekaną galaretką i układamy na niej połówki, lub ćwiartki jaj na twardo gotowanych. Naokoło sztuftady, lub rozbefu oprócz galarety w krutonach, lub siekanej dać można sałatkę włoską, jarzynki, lub kupki grzybków, pikli, groszku z konserwy, fasoli na zimno, na co się właśnie gospodyni i jej spiżarnia zdobędzie.

Pasztecik najładniej wygląda obrzeżony jarmuzem. Dawniej, podawano wszystkie mięsiwa całe, krajanie odbywało się przy stole, wobec gości, nie raz przez nich samych, obecnie częściej widzimy gotowe, nakrajane już półmiski, co ułatwia procedurę nabierania na talerze, należy więc pomyśleć o tem, aby ładnie i apetycznie się przedstawiły.

SOS MIĘSNY, ZIMNY.

Gdy się piecze i dusi różne mięsiwa na jakieś większe przyjęcie, lub na święcone, wszelkie pozostałe na brytwannach i w garnkach sosy zlewać do jednego garnka. Gdy dobrze zastygnie, zdjąć z wierzchu tłuszcz jak najstaranniej, odrzucić wszelkie listki, ziarenka pieprzu i t. p., dodać na szklanek takiego sosu dużą łyżkę powideł śliwkowych, lub marmelady jabłecznej, łyżek parę soku porzeczkowego, przepuścić przez maszynkę, ucierać jeszcze mocno łyżką, aż sos się stanie gładki, jednolity. Przełożyć do sosjerki i podawać do zimnych mięs. Czem większa różnorodność mięs użyta na ten sos, tem jest smaczniejszy.

CHRYZAN ZE ŚMIETANĄ.

Sos ten używany przedewszystkiem do rolady i prosięcia w galarecie, doskonale może też być użyty do prosięcia pieczonego, schabu i zimnej pieczeni wieprzowej, nie powinno więc go braknąć na stole ze święconem.

Łyżkę mąki zasmażyć na białą z małą łyżką masła i filiżanką wody, tak jak na bardzo zawiesisty sos, — zastudzić. Spory korzeń chrzanu utrzeć, osolic, posypać łyżeczką cukru i skropić dobrym, winnym octem, — niech tak postoi godzin parę, aby zbytnią ostrość stracił. Chrzan ten wymieszać jak najdokładniej z mączną zaprawką i kwaterką najlepszej gęstej śmietany i przełożyć do sosjerki. Uważać, aby metalowa łyżka nie leżała długo w tym sosie, stałby się przez to szkodliwy. W ogólności do ostrych, zimnych sosów, należy lepiej używać łyżek porcelanowych, kościanych, lub rogowych.

SOS „CUMBERLAND”.

Ten najwykwintniejszy w smaku sos zimny, już kiedyś podawałam w „Bluszczu”, chcę go jednak raz jeszcze powtórzyć na użytek nowych czytelników.

Pół szklanki galarety porzeczkowej, duży kielisek madery lub w braku jej aromatycznego węgryna, łyżkę utartej na tarce cebuli hiszpańskiej (w braku jej zwykłej cukrówki), łyżkę skórki cytrynowej i pomarańczowej utartej na tarce i potem jeszcze mocno utłuczonej w moździerzu, sok wyciśnięty z całej, dużej pomarańczy i niedużej cytryny, trochę papryki, szczyptę imbiru i łyżkę francuskiej

lub angielskiej, gotowej musztardy, wymieszać wszystko na ogniu, aby się dobrze ogrzało i złączyło, nie trzeba dać się zagotować. Przełożyć do sosjerki i podawać zimny do ciemnych mięs i zwierzyny.

SALAATKA MOGĄCA ZASTĄPIĆ SOS DO ZIMNYCH MIĘSIW.

Sześć jaj ugotować na twardo, potrzymać w zimnej wodzie, aby łupinki odstały łatwo przy obieraniu, oddzielić żółtka od białek, białka pokrajać w długie paski. Sześć kartofli ugotować w łupinkach, obrać i pokrajać w paski drobne, tak jak białka. Jeden ogórek kwaszony, obrany z łupinki pokrajać w takie cienkie paski. Sześć orzechów włoskich oczyścić, sześć całych połówek pozostawić do ubrania, sześć utłuc jak najdrobniej w moździerzu. Żółtka uwiercić w donicy z łyżeczką kawianą soli i trzema łyżkami zwykłej, francuskiej musztardy, wciąż ucierając wlać trzy łyżki najlepszej oliwy, dodać orzechy utłuczone i pół filiżanki winnego octu zmieszanego z przegotowaną wodą, (kto octu nie znosi, niech wycisnie sok z dużej cytryny i zmiesza go też po połowie z wodą). Nakoniec dodać kwaterkę dobrej śmietany, wymieszać dobrze ten sos z białkami i jarzynami. Ułożyć na salaterę, po wierzchu ubrać połówkami orzechów. Ta bardzo wykwintna w smaku sałatka może jednocześnie zastąpić sos do szynki i każdego zimnego mięsa.

CO MOŻNA ZROBIĆ Z JAJ UGOTOWANYCH NA TWARDO

Kotlety z jaj. Na osobę należy liczyć po dwa jajka, z których wyjdą dwa nieduże kotlety. Jaja wyjąć z łupin, usiekać drobno, mieszać z bułeczką wymoczoną w mleku i doskonale roztartą, (na 6 jaj jedna bułeczka, warszawanka), posolic, popieprzyć, wsypać garstkę szczypiorku drobno usiekanego, połowę tej ilości suchego, lub świeżego koperku, łyżkę sporą masła świeżego. Całą masę doskonale wyrobić, dodać na każde sześć jaj gotowanych jedno jajko surowe, wymieszać dobrze, formować zgrabne kotlety, utarzać w bułeczce z mąką, smażyć na maśle, lub fryturze. Rumianem okładać szpinak, szczaw, lub purée kartoflane. Można też podać je z sosem pomidorowym, pieczarkowym, lub grzybowym.

Jaja nadziewane. Dwanaście jaj ugotowanych na twardo oczyścić z łupin, przekroić na połówki, żółtka wyjąć. Kawałek jakiegokolwiek gotowanej, smażonej, lub chociaż wędzonej ryby, obrać z ości i skórki, przepuścić przez maszynkę wraz z połówką dobrego śledzia ulika, kawałkiem kruchego jabłka i połówką hiszpańskiej cebuli, wyrobić doskonale tę masę z utartymi żółtkami, dodać łyżkę francuskiej musztardy, poprobować, czy ma dosyć soli, opieprzyć, dodać tyle gęstej śmietany, aby się masa dała smarować. Ponakładać białka tą masą tak, aby miały kształt całego jajka, ułożyć na półmisku, ubrać naokoło galaretką, jarzynkami, lub zieloną sałatą. Jajka polać sosem provençal, lub musztardowym, lub też jaja podać tak, jak są, a sos oddzielnie w sosjerce.

Jaja „à la Villeroi”. Dwanaście jaj ugotowanych na twardo oczyścić z łupinek, pokrajać na połówki, oddzielić białko od żółtek. Ile mamy jaj, tyle wziąć parówek i tyleż sztuk świeżych pieczarek. Na metalowym półmisku zasmażyć łyżkę masła z cebulką, w tej podsmażyć pokrajane na połówki pieczarki. Pieczarki wyjąć, ułożyć na maśle pokrajane w kostkę parówki, na to ułożyć pokrajane w ćwiart-

ki białka, na nie położyć pieczarki, skropić masłem, wstawić w piec na minut pięć, aby się parówki dobrze rozgrzały. Żółtka przetrzeć przez gęste sito wprost na półmisek i podawać potrawę bardzo gorącą.

Jaja twarde po bretońsku. Ile jaj, tyle cebul. Cebulę, drobniutko pokrajaną, udusić w maśle na złocisty kolor, zaprawić łyżką mąki, rozprowadzić rosółem lub wodą do gęstości i zawiesistego sosu, półmisek wysmarować masłem, ułożyć na nim jaja oczyszczone i poprzekrawane na półówki, osypać koperkiem lub pietruszką na każde jajko położyć łyżeczkę herbatnią gęstej, kwaśnej śmietany, przykryć grubą warstwą sosu cebulowego i wstawić na kilka minut pod blachę, aby się tylko rozgrzało.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Ażeby wapno, lub farba klejowa od ścian nie odpadała, trzeba dodać do farby trochę soli kuchennej, a wapno gasić wodą, w której rozpuściliśmy pewną ilość soli.

* * *

Aby świeżo pobielone ściany nie walały odzień i prędko straciły niemiły odór, wydzielający się z wapna, trzeba je przeciągnąć gąbką, maczaną w wodzie gumowej.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

S. S. Chmielna.

Mieszkankom Warszawy radzę stanowczo chociaż raz się pokazać, trudno jest bardzo leczyć bez zbadania.

Przyczyny zaczerwienienia nosa są następujące: wiek przekwitania, choroby skórne, zaburzenia w przewodzie pokarmowym, zaburzenia w gruczołach o wewnętrznym wydzielaniu, odmrożenia, alkohol i t. d. Ażeby zaczerwienienie nosa usunąć, należy zbadać tło i leczyć podstawowe cierpienie. Jeżeli powodem jest odmrożenie w lekkim stopniu stosować należy środki farmaceutyczne, masaż, parówkę i krem Albotherna dr. Vieganda. Przy odmrożeniu silniejszego stopnia usuwa zaczerwienienie prąd galwaniczny.

Złuszczające maście dają czasem doskonały efekt. Stosują też okłady przemienne, już to b. gorące, już to b. zimne. Nierzadko dobre wyniki daje pędzlowanie kwasem taninowym. Gliceryny 15, kwasu taninowego 5.

Stała prenumeratorka z Małopolski.

Na liszaj poradzić skutecznie, nie widząc i nie mając żadnych szczegółów w liście Pani, jest absolutnie niemożliwe.

Proszę o szczegóły, czy Pani chorowała kiedyś na co? jak wygląda liszaj, od jak dawna ma go Pani? Czy ma Pani artretyzm i co Pani dotychczas stosowała.

Dr. J. Świtalska.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 14

276. Suknia z surowego jedwabiu w dwóch cieniach, przybrała aplikacją i guziczkami.
277. Suknia płócienna koloru electric, plisy białe.
278. Suknia letnia z kreponu gładkiego i deseniowego.
279. Suknia z zefiru w kratę i gładkiego.
280. Sukienka dla sześciolatniej dziewczynki z kretonu w drobny deseni.
281. Suknia z rypsu bawełnianego, plisa ciemniejsza, niż materiał.
282. Suknia z woalu szafirowego, kamizelka biała z czarnym.
283. Sukienka z płócienka szarego, barwnie haftowana dla dziewczynki pięcioletniej.
284. Sukienka z lekkiej wełny w dwóch kolorach, przybrana guzikami.
285. Koszula granatowa z bokami plisowanymi.
286. Płaszcz z pelerynką dla dziewczynki pięcioletniej, odpowiedni i dla chłopczyka.
287. Kostium ciemno-brązowy, spódnica układana w kontrastach.
288. Kostium koloru palonego migdała, przybrany guziczkami.
289. Ubranko dla chłopczyka pięcioletniego.
290. Kostium welwetowy z jasną, sukienną kamizelką.
291. Szlafrok z woalu różowego, plisy białe.
292. 293. Kombinacje dla dziewczynki siedmioletniej.
294. Czepeczek z crêpe de chine'u i gipjury, przybrany wstążką i różyczkami z materiału.
295. Szlafrok z deseniowego woalu, przybrany gładkim.
296. 297. 298. Wzory na bieliznę, haft podłożony tiulem.
299. Wzór na kapę na łóżko, haft kolorowy na szarem płótnie, połączonym мережками. Wzór nat. wielk. na arkuszu wzorów.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3 50
suknia zwyczajna	„ 2 50
bluzka	„ 2 00
formy dzieciinne	„ 2 00
bielizna	„ 1 50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszcza” w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelnikom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:
obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszcza” nie wysyłamy.



MYDŁO W PASCIE NISZCZY EMALIE



DENTOLIN

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW
BEZ DODATKU MYDŁA

Fr. KARDPIŃSKI W WARSZAWIE



MYDŁO KONIK
LILJOWO MLECZNE
CIESZY SIĘ OD PÓŁ
WIEKU NAJWIEK-
SZYM POWODZENIEM
CAŁEGO ŚWIATA
KULTURALNEGO
UDELIKATNIA I
ODŚWIEŻA CERĘ



PERFUMY
WODY KOŁONNIE
MYDŁA

KALIA
JSTE

PRZODUJĄ W POLSCE

J. & S. Stempniowicz
WARSZAWA POZNAŃ RADOM

KTO MA BRODAWKI NA TWARZY I RĘKACH
KTO CIERPI NA ODCISKI (ODGNIATY) NAJNO-
GACH, NIECH KUPI PASTĘ

ESTA

ZNANA OD CZTERDZIESTU LAT ZE SWOJĄ
SKUTECZNOŚCIĄ, CZEGO DOWODEM SĄ
UZNAŃ I PODZIĘKOWAŃ

wyrobu aptekarza E. SOKALSKIEGO w Kętach—Małopolska.

613

OD ADMINISTRACJI

Prosimy o wpłacanie prenumeraty za drugi kwartał względnie
za kwiecień r. b. Czeki P. K. O. dołączyliśmy do 12-go numeru.

NA CZEKACH PROSIMY WYMIENIAĆ OKRES, KTÓREGO PRENUMERATA DOTYCZY, ORAZ
PODAWAĆ DOKŁADNY SWÓJ ADRES, A TO: IMIĘ, NAZWISKO, ZAWÓD, MIEJSCE ZAMIESZ-
KANIA, ULICĘ, Nr DOMU I POCZTĘ.

WARSZAWIANKA

DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

WŁASNA ŚWIATOWA SŁUŻBA TELEGRAFICZNA
 ZAGADNIENIA POLITYCZNE OMAWIANE WSZECHSTRONNIE
 W DZIALE GOSPODARCZYM SZEROKO UWZGLĘDNIANE SPRAWY
 ROLNICZE.
 LITERATURA I SZTUKA W OPRACOWANIU WYBITNYCH KRYTYKÓW
 ODCINEK POWIEŚCIOWY ZNAKOMITYCH PISARZY POLSKICH
 I OBCYCH.
 CODZIEN ILUSTRACJE Z NAJWAŻN. WYDARZEŃ ŚWIATOWYCH.

Dziennik rozpowszechniony w całej Polsce

Redakcja: Warszawa, Nowy-Świat 22, tel.: 273-42 i 273-48.

Administracja: Marszałkowska 140, tel.: 142-67 i 50-19

WŁASNE ODDZIAŁY: KATOWICE, KRAKÓW, POZNAŃ, LWÓW, WILNO, PARYŻ. EKSPozyTURY WE WSZYSTKICH MIASTACH POLSKICH.

PRENUMERATA Z PRZES. POCZT.
 MIESIĘCZ. 4 zł. 50 gr. KWART. 13 zł. 50 gr.
 KSIĘŻA, URZĘDNICY, NAUCZYCIELE
 I AKADEMICY MAJĄ 25 proc. ZNIŻKI.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE (PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TELEFON Nr. 239-40. KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3.700.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie — 57 zł. 60 gr., kwartalnie — 14 zł. 40 gr.

Miesięcznie — 4,80 gr. Zagranicą — 8 zł.

Zmiana adresu 30 gr.

CENY OGŁOSZEŃ:

Na okładce: stronica $\frac{1}{1}$ — 450 zł., $\frac{1}{2}$ str. — 260 zł.,
 $\frac{1}{4}$ str. — 150 zł., $\frac{1}{8}$ str. — 80 zł., $\frac{1}{16}$ str. — 45 zł.,
 $\frac{1}{32}$ str. — 30 zł. Za tekstem o 50% drożej.
 Wkładki reklamowe i reklamy opisowe — według umowy.